

- Czasy odsieczy wiedeńskiej — tureckie imperium
- W rocznicę września — sojusznicy z Downing Street
- Szmaciany biznes — wyznania Polaków pracujących na Zachodzie
- Marek Hlasko — niedoszły bard socrealizmu
- Czarna wdowa

Towar wystawiony na sprzedaż

strona 12



Foto: Janusz Kubik

Łódź tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

NUMER 37 (1328) ROK XXVI 10 WRZEŚNIA 1983 ROKU CENA 15 ZŁ

Dwa spojrzenia na Wieluń



Foto: W. Chorościński

Raz na 700 lat

EUGENIUSZ IWANICKI

Zyjemy w kraju jubileuszów, rocznic, obchodów i akademii. Ale taki jest już nasz charakter narodowy, że przeszłość ustrzyliśmy specjalną estymą, że zbieramy jej skrawki, by two-

rzyć z nich nasz rodowód. A rodowód ten nie jest wcale tak świeży, sięga w głąb Sredniowiecza, jest równy rodowodom innych, europejskich narodów. A jeśli się okazuje, że miasto leżące od nas na wyłączenie ręki, tkwi korzeniami u początku naszej państwowości, nasza duma jeszcze bardziej krzepnie utwierdzając nas w pewności, że w doręczach Włsty i Odry byliśmy od zawsze. Przyczynkiem do powyższych refleksji stały się obchody 700-lecia Wielunia.

SZCZYPTA HISTORII

W czasach, kiedy obcowanie świętych ze zwykłymi śmiertelnikami było nagminne, a cuda rzecza powszechna, polującemu w 1217 roku księciu wielkopolskiemu Władysławowi Odnowcy ukazał się w borach w okolicach Rudy

Na zapleczu jubileuszu

JOLANTA WRÓŃSKA

Trzy karczmy, bram cztery ulotki, klasztorów dziewięć i gdzieniegdzie domki... No nie, nie całkiem tak. Niewielkie miasta mają swój urok małych uliczek, wygrzanych w słońcu placów i emerytów obiegających parkowe ławki. Jest wszystko co potrzeba. Kilka pięknych kościołów, otoczonych kwiatami, przynajmniej plac, ważne urzędy, szpital, stary cmentarz i klimat niespiesznego spokoju. Wszystko utopione w pachatej zieleni.

Wiele jest w Polsce takich niedużych miast, takich samych kłopotów i porównywalnych losów. Niektóre z tych miast drżmią zapomniane przez gospodarzy zapatrzonych w wielkomiejski sznyt, wiele z nich umiera powoli i cicho, a niektóre odnajdują swój smak i styl właśnie w takiej niedużej skali i starają się wygrać posiadane atuty.

Wieluń należy do tych ostatnich i postanowił sobie sprawić jubileusz, na znak i dowód, że małe jest piękne.

Szwendanie się rozpoczynam od historii. Na fasadzie kościoła św. Józefa — tablica pamięci. Jest Krzyż Wirtuti Militari. Jest Krzyż Harcerski i kotwica Polskiej Walczącej z wizerunkiem Matki Boskiej... „Czesć i chw.ła niezłomnym bojownikom o Polskę, synom Ziemi

Nie czas jeszcze na podsumowania i generalne oceny, mimo to już obecnie można stwierdzić, że proces formowania się nowych związków zawodowych przebiega szybciej i lepiej, niż można było przypuszczać w pierwszych dniach po ogłoszeniu ustawy sejmowej. Oczywiście, nawet tam, gdzie organizacje związkowe są już liczne i aktywnie działające, nie brak trudności, z jakimi borykają się działacze nowej organizacji, często ludzie młodzi i nieoświadczeni. Są również środowiska i zakłady, które dotychczas

faktu żadnych wniosków, które stanowiłyby podstawę do negatywnej oceny. Ważne, że proces powstawania charakteryzuje się u nas dużą autentycznością, nie działają żadne formalne czy nieformalne mechanizmy zmuszające ludzi do wstąpienia.

— Czy komórki związkowe istnieją już we wszystkich instytucjach?

— We wszystkich dużych i średnich zakładach produkcyjnych. W jednostkach niewiel-

Potrzebne i tam, gdzie ich nie ma

czas, jak gdyby nie wiedzą, że ponownie stworzona została możliwość, aby pracownicy zdecydowali o wielu istotnych dla całej załogi i poszczególnych jej członków sprawach.

1. PRZYCHODZĄ LUDZIE I SKARŻĄ SIĘ NA SAMOWOLĘ ADMINISTRACJI

Jakimi zagadnieniami zajmują się obecnie związki, jakie problemy rozwiązują w codziennej pracy, rozmawiałam z przedstawicielami dwóch łódzkich organizacji związkowych: w Zakładach Przemysłu Pończoszniczego „Feniks” i Fabryce Dywanów „Dywilan” oraz z sekretarzem zespołu doradczego do spraw związków zawodowych, Zbigniewem Kanińskim.

— Zaczniemy od statystyki. Jak przebiega proces tworzenia się nowych związków zawodowych w naszym województwie?

— W niektórych zakładach bardzo dobrze. Do związków należy ponad 50 proc. załogi, w takich m.in. zakładach, jak „Marchlewski”, „Obrońców Pokoju”, „Dywilan” i inne są większe fabryki. Już w tej chwili są to organizacje, z którymi trzeba się liczyć. W innych zakładach do związku należy na razie od kilku do kilkunastu procent pracowników. Z reguły występują tam spore trudności w ułożeniu właściwej współpracy związku z kierownictwem i pozostałymi działającymi na terenie zakładu organizacjami. Średnio w skali województwa, do związków należy około 20 proc. zatrudnionych, to jest nieco poniżej średniej krajowej. Nie należy jednak wyciągać z tego

związków, zwłaszcza spółdzielczych, służbie zdrowia, PKP dopiero teraz podejmowane są próby ich utworzenia. Najgorzej wygląda sytuacja w biurach projektów, placówkach kulturalnych i innych o inteligentnym charakterze zatrudnienia. Do chwili obecnej w wielu z nich nie działają nawet grupy inicjatywne. W sumie takich białych plam jest w województwie około 200.

— Jaka jest, pańskim zdaniem, przyczyna takiego stanu rzeczy?

— W małych grupach silniej niż w dużych zakładach oddziałują układy nieformalne. Są tam zapewne ludzie, którzy chętnie wstąpiłoby do związku, obawiają się jednak, że spotka ich niechęć i różnej natury represje ze strony kolegów. Przeważnie w jednostkach tych mało aktywne są również organizacje partyjne. Jednak i tam brak związków daje się odczuwać. Do zespołu trafiają pracownicy takich instytucji skarżąc się na samowolę dyrektora, który różne decyzje, także dotyczące spraw pracowniczych, podejmuje bez porozumienia z kimkolwiek. Jest to zgodne z prawem, bo przecież skoro nie istnieje związek, nie ma z kim konsultować decyzji. Sądzę więc, że i w tych zakładach związek w końcu powstanie, po prostu okaże się niezbędnym.

— Zarówno tam, gdzie związki powstały niedawno, jak i w tych zakładach, gdzie istnieją od kilku miesięcy, wiele czasu pochłaniają sprawy organizacyjne. Czy nie zdarza się, że cierpi na tym działalność merytoryczna, odkładana na późniejszy okres?

— Proporcje między działalnością organizacyjną a merytoryczną układają się

4

5

6

nawołuje rodziców w kościele, aby nie wysyłali dzieci do NRD, motywując, że jest to nie innego, jak odciąganie od kościoła i w zamian proponuje pobyt w innym, wybornym wikcie zagranicznym.

W dużym mieście owi bezbożnicy giną „w tłumie”, ale w małym miasteczku, w gminie, na wsi, w parafii? Tu każdy zna każdego. Tu wiadomo, kto „dobry Polak — bo katolik”, a kto ateista. A przecież partia nie może zrezygnować ze swojej ideologii, bo przestanie być partią.

„Musimy wyzbudzić się delikatności wobec agresji nietolerancji ze strony przeciwnika i skłonić go do szacunku dla niewierzących — pisze St. Szczerba. — Bez wzajemnej tolerancji, opartej na życzliwości, nie może być atmosfery wzajemnego zaufania.”

Wzajemna tolerancja musi opierać się na dużej kulturze i wiedzy. A tej wiedzy i kultury ciągle brakuje. Oto w „TU I TERAZ” (nr 35 z 31 sierpnia 1983 r) i w „POLITYCE” (nr 35 z 27 sierpnia 1983 r) powraca

SPÓR O ADAMA DOBOSZYŃSKIEGO

Henryk Korotyński we wspomnieniach opublikowanych w „Polityce” (nr 13 z 26 marca 1983 r) wspominał o procesie Adama Doboszyńskiego. W czerwcu w tygodniku „Lad” wystąpił w obronie Adama Doboszyńskiego Lesław Kula. W obronę Henryka Korotyńskiego wzięli w „Tu i Teraz” (213). Obecnie powraca do tej sprawy w „Polityce” Henryk Korotyński, a w „Tu i Teraz” Piotr Cebo. Powodem tej ostatniej wypowiedzi jest list R. R. do redakcji „Tu i Teraz”. R. R. występuje jako przedstawiciel „kół młodzieżowych naszego uniwersytetu”. Jakiego? Otóż ten przedstawiciel twierdzi w imieniu owych „kół”, że „nie podzielamy jego poglądów, ale szanujemy jego pamięć”, gdyż A. Doboszyński „przeszedł do historii jako polityk odważny, principjalny”. Wielce oryginalny to pogląd. Trzeba i można mieć szacunek dla przeciwnika politycznego, ideologicznego, jeśli on swą postawą na ten szacunek zasługuje. Ale trzeba przede wszystkim dobrze go znać, jego poglądy, postawę, czyny, aby móc go właściwie i sprawiedliwie osądzić. Taką właśnie ocenę daje w „Tu i Teraz” Piotr Cebo. Pisze on między innymi:

„Był bowiem Doboszyński jeden z barwniejszych, ale i najbardziej szkodliwych dla polskiej racji stanu postaci. Nadmiernie pobudliwy i wręcz agresywny nie znalazł w swoich publicystycznych i politycznych działaniach miary.”

Był inicjatorem i przywódcą marszu na Myślnice w czerwcu 1936 roku, kiedy to endeckie bojówki dowodzone przez niego zdemolowały sklepy żydowskie w Myślnicach i posterunek policji.

„Doboszyński — pisze w związku z tym Piotr Cebo — stał się złowrogim i zienawidzonym symbolem metamorfozy, jakiej podlegała wówczas część tzw. młodych działaczy obozu narodowego, nie przydadzą splendoru idei, której służył.”

Piotr Cebo przyznaje przy tym, że tenże Adam Doboszyński „dzielnie walczył w kampanii jesiennej i francuskiej”, ale też dostawczy się do Anglii stał się zaciekłym i niewybrednie atakującym przeciwnikiem gen. Władysława Sikorskiego, szczególnie po próbach porozumienia się z ZSR, podjętych przez rządu londyńskiego. Do kraju powrócił nielegalnie na przełomie 1946 i 1947 roku, „aby zorganizować polityczny stródkowiska narodowe i katolickie wobec — nieuchronnej jego zdaniem — wojny światowej”. Został aresztowany w 1947 roku, a jego proces odbył się na przełomie czerwca i lipca 1949 roku. Oskarżał go słynny później prokurator wojskowy płk Stanisław Zarakowski. W wyniku tego procesu „Doboszyńskiego skazano na śmierć za przestępstwa, jakich nigdy nie popełnił”. W niczym to nie zmienia sądu o jego postawie i czynach politycznych, jak też w niczym nie usprawiedliwia ówczesnych władz aparatu bezpieczeństwa i sądownictwa. Za naruszenie praworządności lu-

dzieci — a Piotr Cebo ich wymienia — ponieśli odpowiedzialną karę. Tak więc nim się kogoś pragnie kreować na bohatera, trzeba choć trochę o nim wiedzieć i umieć sprawiedliwie go osądzić.

Można wszakże zaobserwować, jak młodym ludziom, dla których już lata 1944—1949 są tylko historią, podsuwa się różne postacie do afirmacji. Przykładem tego może być spór toczony na łamach „POLITYKI” (nr 35 z 27 sierpnia 1983 r) o to,

CZY MARSZAŁEK EDWARD RYDZ-ŚMIGŁY BYŁ BOHATEREM?

Spór ten toczy się między Klaudiuszem Hrabym a Ryszardem Markiem Grońskim. Ten ostatni przyznaje, iż przeczytał swego czasu w „Pracach i Życiu” przyczynek „do sprawy Rydza pióra Józefa Korala-Lebedowicza”, w którym znalazło się między innymi stwierdzenie, iż „na grobie współwinnego tragedii września — młodzieńca szkolna przypina na brzozywym krzyżu — to co ma najdroższego — swoje tarcze szkolne...”. Ten fakt spowodował, że R. M. Groński podał na łamach „Polityki” w wątpliwość próbę uczynienia z marszałka Edwarda Rydza-Śmigłego bohatera walki o niepodległość w czasie okupacji.

Teraz R. M. Grońskiego atakował na łamach „Polityki” Klaudiusz Hrabyc w artykule „Jeszcze jeden wódtwo w bezczynie”. R. M. Groński uważa, że E. Rydz-Śmigły padł ofiarą ambitnych planów wejścia do podziemia Juliana Piaseckiego i odegrania w podziemnym życiu okupowanej Polski decydującej roli, przy czym byłaby to rola opozycyjna w stosunku do krajowego kierownictwa AK i rządu w Londynie. Klaudiusz Hrabyc broni J. Piaseckiego, ale sedno rzeczy nie w tym tkwi. Chodzi bowiem i przede wszystkim o to, że usiłuje się z powrotem marszałka Edwarda Rydza-Śmigłego uczynić akt bohaterstwa, a był to raczej akt desperacji. Na arenie politycznej Polski podziemnej i na emigracji dokonały się już zasadnicze zmiany. Na co w tej sytuacji mógł liczyć Edward Rydz-Śmigły? Na bohaterką śmierć, która nie mogłaby zamazać faktu pozostawienia walczącej w kraju armii. Nie mógł liczyć na żadne poparcie walczących z okupantem sił narodu. Ludzie decydujący się walczyć w trudnych warunkach hitlerowskiej okupacji, terroru i prześladowań mogli i zaufali tylko ludziom, którzy nie skompromitowali się ucieczką z walczącej Polski.

Powinniśmy wymazywać z kart naszej historii białe plamy, wyjaśniać wszelkie przemilczenia, szukać prawdy tam, gdzie jej nie było. Ale to nie znaczy, że musimy na siłę rehabilitować ludzi, którzy swymi czynami wydadli sobie jednoznaczne świadectwo. Trzeba znać dobrze historię, bo taka znajomość pozwala lepiej zrozumieć teraźniejszość i przyszłość, ale trzeba też znajomość opierać na faktach, a nie budować nowych mitów. Zasada ta musi dotyczyć wszystkich czasów, i tych najdawniejszych, i tych najnowszych.

Pewne światło na czasy najnowsze rzuca książka

PAWŁA BOŻYKA „MARZENIA I RZECZYWISTOŚĆ”

którą w „SZPIPKACH” (nr 35 z 1 września 1983 r) chwali i gani jednocześnie „Dyżurny”. Chwali za to, że „Marzenia i rzeczywistość” stanowią próbę analizy mechanizmów sprawczych co w ciągu 10 lat rozkruszyły gospodarkę narodową”. Chwali za to, że „książka Bożyka ujawnia do jakiego stopnia zanurzony w system zarządzania został wielokrotnie przez cechy charakteru Pierwszego Sekretarza”. Otóż — jak pisze „Dyżurny” — Edward Gierek „jawi się na kartach „Marzeń i rzeczywistości” — jako człowiek, który się nie zna, za to się boi. Nie zna się niemal na niczym, a boi się właściwie wszystkiego. Następstwo, bezwładność materii, klasy robotniczej, społeczeństwa, a nawet samego siebie. Boi się podejmować decyzje i potem do siebie smienia. Jest fatalistą, ale wiarę w przeznaczenie łączy z optymistyczną nadzieją, iż w ostatecznym bilansie wszystko się może ułożyć.”

Za co „Dyżurny” gani książkę P. Bożyka?

Za to, iż „Bożyk widzi polski kryzys jako fakt gospodarczy, zawiniony przez złych planistów i złego bossa. Stawia im dwójkę z ekonomii, ale nie wystawia ocen z polityki.”

To właśnie — twierdzi „Dyżurny” — spowoduje, iż „ekonomiści pewno się na nią zachną, profesjonalni politycy pewno ją zlekceważą”, a dla pełnego zrozumienia żądał i mechanizmów polskiego kryzysu lektura „Marzeń i rzeczywistości” Pawła Bożyka jest niezbędna. „Dyżurny” wprawdzie byłby skłonny bardziej zaliczyć ją do wspomnień niż publicystyki, ale to już sprawa raczej uboczna.

W tychże „Szpiłkach” można znaleźć

„ŻAŁOSNY KONIEC PRZYSŁÓW”

Jest to praca gigantyczna — poddać krytycznej analizie polskie przysłów. „Wymarzony temat co najmniej na pracę magisterską” — piszą „Szpiłki”. A oto wzór, jak taka praca powinna wyglądać:

„Kradzione nie tuczy. Tuczy, tuczy i to jeszcze jak. Wstarczy na ten temat porozmawiać z kolejarzami okradającymi pociągi powierzone ich pieczy.”

Inny przykład:

„Czego się Jaś nie nauczył, Jan nie będzie umiał. W jaki sposób ma się Jaś czegośkolwiek nauczyć, skoro od lat brak podręczników, lektur szkolnych, pomocy naukowych. Przed paroma zaledwie tygodniami odstąpiono od regramentacji zeszytów.”

I tak dalej.

Kiedyś wydawano u nas księgi przysłów polskich, teraz czas zasiać do ich weryfikacji, krytycznej analizy i konfrontacji z rzeczywistością. Za redakcją „Szpiłek” życzymy powodzenia w tej gigantycznej pracy!

LUCJAN BOGUSZ

W najbliższych numerach:

- CZASY ODSIECZY WIEDEŃSKIEJ
- OPowieści cmentarne
- SZMACIANY BIZNES
- PRYWATNE ŻYCIE JOHNA LENNONA
- WEJŚCIE SMOKA — WYWIAD Z MENAJZEM ESTRADOWYM
- CZARNA WDOWA
- JAK ZOSTAŁEM STUDENTEM!

Minął tydzień

KONKURS JEST LEPSZY

Mgr inż. Stanisław Kosiński — uprzednio pracownik KŁ PZPR — wygrał konkurs na dyrektora Łódzkiego Zakładów Termotechnicznych „Techma-Elca” i opowiada na łamach „Dziennika Łódzkiego” Janowi Brzozce o swoich przeżyciach i przemysleniach.

„Konkurs po prostu daje możliwość wyboru z kilku bądź kilkunastu kandydatów tego, który dysponuje najużyźniejszymi potencjalnie możliwościami. Jest poza tym imprezą otwartą i kandydować mogą tutaj ludzie, którzy kiedyś tej szansy by nie mieli, bo nie znajdowali się w orbicie zainteresowania tych, którzy podejmowali decyzje. A jest jeszcze istotny aspekt psychologiczny. Nikt mnie tu nie przyniósł w tece, jestem autorem zaakceptowanym przez załogę, więc ta świadomość ułatwia mi pracę — powiada sam zainteresowany i przyznaje, że konkurs był trudny, męczący, przygotowany i przeprowadzony przez specjalistów z TNOiK.

A przecież znaleźli się ludzie, którzy powątpiewali w obiektywność konkursowej oceny i mówili: „wygrał ten, który miał wygrać”. Na co zainteresowany, do którego te opinie dotarły, i pochodzili spoza fabryki, radził, aby sami spróbowali, wtedy przekonają się, jak to jest stawać do konkursu i go wygrać.

JANUSZ PRZYMANOWSKI UDOWADNIA

na łamach „Trybuny Ludu” w artykule zatytułowanym „Literat — zawód czy hobby?”:

„Jeśli więc naprawdę, a nie tylko deklaracyjnie chcemy rozwoju literatury, musimy stworzyć warunki pozwalające na uprawianie jej jako zawodu podstawowego.”

Wywód jest przekonujący. Ale przecież nie wszyscy będą mogli utrzymywać się tylko z literatury, są bowiem pisarze trudni, adresujący swoje utwory do nielicznego, a bardzo wyrobionego grona czytelników. Taka twórczość jest niezbędna dla rozwoju literatury i wymagająca mecenatu. Funkcję tę może spełniać tylko państwo, co jednak nie przeczy słuszności założenia, że jeśli chcemy mieć literaturę, to pisarcom musi opłacać się pisanie książek nie tylko dla przyszłości, a wątpliwej sławy.

PIĘKNE ZAPOWIEDZI

złosiło już PWN, a opublikowała je prasa. Ukaże się więc wznowienie 4-tomowej encyklopedii. Ukaże się „Leksykon PWN”, który będzie zawierał około 25 tysięcy haseł biograficznych, spełni więc rolę polskiego „Who is Who”. Ukaże się też „Encyklopedia Warszawy”, a także liczne słowniki Cieszy to wszystko, ale też i budzi wątpliwość: czy wydawca tym razem tak ustali nakład, że te cenne książki trafią do księgarń, a przez nie do ludzi je poszukujących, czy też przez bazar i czarny rynek do ludzi lokujących pieniądze w cennych książkach?

NADCHODZI JESIEŃ

Donosi o tym nie tylko kalendarz, ale i liczne zapowiedzi wydawnicze. Tym razem prasowe. Oto „Dziennik Łódzki” już od 10 września 1983 roku będzie też ukazywał się w soboty. Później w soboty będzie też ukazywał się „Express Ilustrowany”. Być może dołączymy się czasami, kiedy gazety będą ukazywały się w niedzielę, jak to dzieje się w wielu krajach na świecie.

Nim się jednak „Express Ilustrowany” zacznie ukazywać w sobotę, przygotował on nadzwyczajny dodatek związany z majem, który odbył 14 września 1983 roku w Białymostku meczem drużyny RTS Widzew i IF Elfsborg. Dodatek jest kolorowy i interesujący. Dla tych, którzy rozwiązały krzyżówkę Zrzad RTS Widzew ufundował do wylosowania telewizor.

W kolorowej szacie ukazał się też „Tygodnik Piotrkowski” z okazji przygotowanego święta swoich czytelników. Program tego święta zapowiada się ciekawie.

Wszystko to wskazuje, że lato i urlopy mamy już za sobą, a wchodzić w nowy jesienno-zimowy sezon. Oby był on ciekawy i tak interesujący, jak zapowiedzi.

„Ale też i te zapowiedzi budzą pewien niepokój. Co mianowicie zrobi biedny „RUCH”, który ma ciągle — a już szczególnie w soboty i niedziele — większość kiosków zamkniętych. Jak on to wszystko sprzeda?”

FRANEK KIMONO ZNÓW W „RADARZE”!

Tygodnik pracy twórczej „Radar” w numerze 34 zapowiada, iż:

„Na życzenie naszych czytelników już w następnym numerze drukujemy nowe oraz stare przeboje FRANKA KIMONO!”

W „Radarze” są też teksty piosenek czolowych polskich zespołów nie tylko rockowych. Niezmiernie ciekawa to lektura.

NOWA MODA

W „Szpiłkach” od pewnego czasu Zbigniew Nienacki pisuje felietony pod hasłem „Chata za wsią”, donosząc o tym co się dzieje w okolicy wsi Jerzwałd, gdzie mieszka już od lat, a także prezentuje pogląd na różne sprawy widziane z tegoż Jerzwałdu. Nawet to i ciekawe.

Od niedawna również „Karuzela” ma taki felieton ze wsi. Pod hasłem: „Notatki z chatki” pisuje w „Karuzeli” Karol Badziak, mieszkaniec wsi Laskowiec. Ostatnio doniósł, że mieszkańcy wsi Laskowiec tęsknią do pani Stachowiako-ej, która była wyniosła się do miasta i już od roku do wsi nie wróciła. Ludzie pióra poszli w lud!

RENASANS LAMPY NAFTOWEJ

„Głos Robotniczy” doniósł z niepokojem, że „Łódzkim ulicom zagrażają egipskie ciemności”. Okazuje się, że nie ma i szybko nie będzie dostatecznej ilości żarówek różnego rodzaju niezbędnych dla sprawnego działania oświetlenia ulic. Zakład Energetyczny Łódź-Miasto zapowiada w związku z tym, że będzie wyłączał oświetlenie na ulicach nie pełniących roli traktów transportowych. W tej sytuacji mieszkańcom miasta nie pozostaje nic innego jak zaopatrzyć się w lampy naftowe i chodzić z nimi po ulicach.

SZCZEROŚĆ

Tygodnik sieradzki „Nad Wartą” opublikował odpowiedź Wydziału Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska Urzędu Miejskiego w Żduńskiej Woli na zarzuty postawione na łamach pisma przez mieszkańców miasta. Oto Daniel K. — kierownicze sklepu kosmetycznego wyjaśnia się, że: „przynajmniej ze Żduńska Wola nie jest jeszcze miastem zbyt czystym” A będzie?

Natomiast Dorocie Sz. — nauczycielce — wyjaśnia się, że szaleł mielski od 1975 roku był czynny bez przerwy, a ostatnio tylko w godzinach od 8 do 16, „co wynika z niepełnej obsady pracowników”. W szalecie tym pracuje tylko jedna osoba, a po winny 2,5 — bo tyle jest etatów. Tylko „nie można znaleźć chętnych do tej specyficznej pracy”. Do siusiania chętni są!

A. B. SEKATOR

Dojsze Hitlera do władzy i stałe gwałcenie postanowień traktatu wersalskiego stwarzały dla Wielkiej Brytanii atmosferę niepewności i rozczarowania. Niemcy w szybkim tempie odbudowywały siły zbrojne i nie pytając o zgodę Ligi Narodów, do której należały, pozwoliły Włochom na zajęcie Etiopii i wzięcie udziału w interwencji zbrojnej w Hiszpanii. A.N. Chamberlain, przedstawiciel partii konserwatywnej, premier od 1937 r., wbrew opinii społeczeństwa angielskiego i opozycji ze strony pewnej części partii konserwatywnej z Churchillem i Edenem na czele, podobnie jak we Francji Daladier, prowadził wobec państw faszystowskich politykę ustępstwa. W efekcie polityka ta doprowadziła do zawarcia układu monachijskiego, wcielenia do III Rzeszy Austrii i zajęcia Czechosłowacji. Pod wpływem opinii publicznej rząd brytyjski zobowiązał się do udzielenia pomocy Polsce i Rumunii w wypadku agresji hitlerowskiej, ale tego zobowiązania nigdy nie wypełnił.

Z wielu dyplomatów i mężów stanu W. Brytanii realnie oceniali sytuację w Europie w ostatnich dniach poprzedzających wybuch II wojny światowej. W. Churchill i N. Henderson.

Sir Winston Leonard Spencer Churchill (1874—1965), wybitny mąż stanu W. Brytanii, w latach 1939—40 pierwszy lord admiralacji, a od 1940 r. premier, sprzeciwiał się ugodowej wobec Hitlera polityce A. N. Chamberlaina i nawoływał do zbiorowej akcji państw europejskich przeciwko wzrastającej agresji hitlerowskiej.

„Państwa neutralne — mawiał nieraz — przypominają człowieka, który karmi krokodyla, mając nadzieję, że krokodyl jego właśnie zje na ostatku”.

W 6-tomowych pamiętnikach pt. „Długa wojna światowa” tak pisze o koalicji hitlerowskiej z udziałem Związku Radzieckiego:

„Rząd brytyjski musiał pilnie rozpatrzyć konsekwencje polityczne, które wypływały z udzielenia gwarancji Polsce i Rumunii. Zaden z tych kompleksów nie miał najmniejszej wartości wojskowej, jeżeli nie mieścił się w ramach ogólnego porozumienia z Rosją. W tym celu ambasador brytyjski w Moskwie pojął rozmowy z Litwinowem. Biorąc pod uwagę sposób, w jaki traktowany był dotychczas rząd radziecki, niewiele się można było spodziewać. Jednakże Związek Radziecki złożył oficjalną propozycję, której tekst nie został ogłoszony, a która miała na celu stworzenie wspólnego frontu wzajemnej pomocy między W. Brytanią, Francją i Związkiem Radzieckim. Te trzy mocarstwa z udziałem — jeżeli możliwe — Polski, miały poza tym udzielić swej gwarancji tym państwom Europy Środkowej i Wschodniej, którym groziła agresja niemiecka. Niechęć Polski i państw bałtyckich do ratowania się ze szponów niemieckich przy pomocy Związku Radzieckiego powodowała wahania i niepowodzenia w rokowaniach”.

Gdy wybuchła wojna, a W. Brytanii i Francji zweekowały z wypowiedzeniem jej agresorowi hitlerowskiemu, Churchill w nocy z 2 na 3 września 1939 r. postanowił sam działać. Telefonicznie do ambasadora Francji w W. Brytanii Corbina.

— Pani ambasadorze; Francja musi natychmiast wypowiedzieć wojnę.

— Mój kraj, sir — odpowiada ambasador — robi w tej chwili ogromny wysiłek. Jest w trakcie mobilizacji. Sądzę że również i pańscy żołnierze powinni pójść za naszym przykładem i przyspieszyć przygotowania wojskowe.

Churchill odkłada słuchawkę. Czuje się bezsilny. Przyznaje rację rozmówcy. Trzeci dzień trwa już wojna a W. Brytanii wcale się nie spieszy z pomocą sojusznikowi.

Mija noc. O godz. 11 W. Brytanii zdecydowała się wrzeszczą wypowiedzieć wojnę Niemcom. W dzień później ogłasza stan wojny z Niemcami również i Francja.

A jak wyglądały działania wojenne obu państw — tak pisze o tym Churchill m.in. w cytowanych pamiętnikach:

„Po zakończeniu mobilizacji armie obu krajów stanęły bezczynnie naprzeciwko siebie wzdłuż granicy. Nie było również ataków powietrznych na W. Brytanię i Francję, z wyjątkiem paru lotów wywiadowczych. Rząd francuski prosił nas o takie same postępowanie w stosunku do Niemiec, aby uniknąć represyjnych bombardowań, które by zagrażały przemysłowi Francji, nie zabezpieczonemu przed nalotami powietrznymi. Ograniczyliśmy się więc do zrzucenia ulotek, które miały na celu moralne oddziaływanie na Niemców. Ten dziwny sposób prowadzenia wojny powietrznej i lądowej wywoływał ogólne zdziwienie. Francja i W. Brytanii pozostawały bezczynne, podczas gdy niemiecka machina wojenna miażdżyła Polskę całym swym ciężarem i uwarunkowała ją. Hitler nie miał naprawdę powodów do niezadowolenia”.

Neville Henderson, ambasador W. Brytanii w Niemczech, był wyjątkowym dyplomata, konsekwentnym i bezkompromisowym w swoim postępowaniu, zarówno wobec Anglików, jak i Niemców. Często przychodziło do ostrej wymiany słów między nim a czolowymi bonzami III Rzeszy, nie wylaczając nawet samego Hitlera. Kilka takich rozmów przytacza m.in. czasopismo francuskie „Candide”.

28 sierpnia 1939 r. Henderson wręcza Hitlerowi negatywną odpowiedź rządu brytyjskiego na proponowaną przez Führera propozycję zawarcia wzajemnego sojuszu.

— Wybór zależy od pana — mówi ambasador. — Albo wojna z Polską, albo przyjaźń z Anglią.

Führer jest zaskoczony. Nie takiej odpowiedzi się spodziewał.

— Muszę uważnie przestudiować notę angielską. Dam panu jutro odpowiedź na piśmie.

Dnia następnego Henderson zjawia się powtórnie w kancelarii Rzeszy, aby z rąk Hitlera odebrać odpowiedź Niemiec na notę brytyjską. Treść jej przebiegł szybko oczyma:

„Rząd niemiecki nigdy nie miał zamiaru zagrażać żywotnym interesom Polski. Dlatego wyraża zgodę na podjęcie rozmów z przedstawicielem Polski jutro, w środę 30 sierpnia.

— Chyba nie mówi pan serio? — mówi ambasador. — Dajecie Polsce 24 godziny czasu na przysłanie do Berlina pełnomocnika. To stanowczo za krótki okres czasu. Po co ten pośpiech? To jest chwyłanie za gardło... To brzmi jak ultimatum... —

— Nic podobnego — odpowiada Hitler. — Zdanie to podkreśla jedynie wagę chwili. Niech pan pomyśli o tym, że lada moment może dojść do poważnego incydentu. Niech pan pomyśli, że dwie zmobilizowane armie staną naprzeciwko siebie... —

— Ale ten termin jest za krótki... —

— Co to znaczy za krótki? Chamberlain i Daladier przyjechali do Monachium nazajutrz po otrzymaniu zaproszenia. Dlaczego nie może tego zrobić przedstawiciel Polski? Byłoby to samolotem z Warszawy do Berlina wystarczy półtorej godziny.

— Niech pan mnie posłuchaj... —

— Nie. Od tygodnia robimy wciąż to samo. Wymieniamy i oty i odpowiedzi. Ta absurdalna gra nie może trwać wiecznie. Wypadki nie mogą czekać. Spójrzymy prawdzie w oczy. Niech pan pomyśli o dywizjach, które drepczą w miejscu, o żołnierzach, których się hamuje, o karabinach, które same mogą odpalić. Niech pan pomyśli o tym, że mój naród... wykrwawia się z dnia na dzień... —

— Naród polski może powiedzieć to samo... —

— Niechże pan będzie rozgadany. Wam, Anglikom, jest przecież wszystko jedno.

— To ohydna insynuacja. Anglicy nie są tacy, jak wy o nich myślicie. Nie pozwolę nikomu, nawet panu, mówić takich rzeczy. I to do mnie, który od czasu, gdy jestem w Berlinie nie przestawał walczyć z całym sił aby nie dopuścić do wojny i uniknąć przelewu krwi... Pan przesadził. Jeśli pan chce wojny, będzie ją pan miał.

Tłumiąc gniew Henderson pyta Hitlera, jakie postawi warunki.

— Całkowite zrewidowanie traktatu wersalskiego, — to znaczy, przyznanie nam Gdańska i Korytarza oraz urzędowe gwarancje dotyczące opieki nad niemiecką mniejszością narodową w Polsce.

— Przekażę te propozycje rządowi Jego Królewskiej Mości.

Dnia następnego, 30 sierpnia minister spraw zagranicznych III Rzeszy Ribbentrop prosi Hendersona o przybycie do kancelarii Rzeszy o godzinie 23.30. Ambasador przybywa w ozna-

zamiast domagać się przyjazdu pełnomocnika polskiego, podjęli normalną procedurę. Złożyli wasze warunki w ambasadzie polskiej prosząc ją, by przekazała je swojemu rządowi.

— To jest absolutnie niemożliwe po tym wszystkim, co się stało — wybuch Ribbentrop. — Nigdy nie poproszę Lipskiego, by się spotkał z mną. Domagamy się, by do Berlina przybył specjalny pełnomocnik, zapatrzony w pełnomocnictwo upoważniające go do rozmów z nami w imieniu swego rządu.

W 44 rocznicę agresji hitlerowskiej na Polskę

Sprzymierzeńcy z Downing Street

czonym czasie. Na wstępie odczytuje depezę, którą otrzymał od Chamberlaina:

„Nierozsądne byłoby przypuszczać, że rząd brytyjski może skłonić w ciągu 24 godzin rząd polski do przysłania pełnomocnika do Berlina”.

— Termin upłynął — mówi Ribbentrop. — Gdzie jest przedstawiciel Polski, którego pański rząd miał nam przysłać?

Zamiast odpowiedzi Henderson czyta drugą część telegramu Chamberlaina:

„Interweniowaliśmy u rządu polskiego, by zapobiegł on incydentom na granicy kraju. Ale nie można tego od niego wymagać, jeśli rząd Rzeszy nie zajmie takiego samego stanowiska. Według raportów Niemcy w Polsce dopuszczają się aktów sabotażu, które usprawiedliwiają energiczne kontrposunięcia rządu polskiego.

— To Polacy są prowokatorami, a nie my — replikuje ostro Ribbentrop. — Pomylił się pan w adresie.

Henderson formułuje następującą propozycję:

— Rząd mój sugeruje, abyście

Z kolei traci cierpliwość Henderson. Kiedy zaczyna czytać odpowiedź rządu angielskiego na propozycję złożone przez Hitlera, w których ten wyraża gotowość bezpośrednich rozmów z Polakami, jest czerwony na twarzy i trzęsą mu się ręce.

„Domagamy się, by podczas trwania rozmów — brzmiała brytyjska — obie strony zaprzestały wszelkich ruchów o charakterze agresywnym”.

— To niedopuszczalna zniewaga! — podniesionym głosem mówi Ribbentrop, mierząc Hendersona pogardliwym spojrzeniem. — Nie ma mi pan nic innego do powiedzenia?

— Mam. W posiadaniu mego rządu są raporty, informujące, że Niemcy w Polsce dopuszczają się aktów sabotażu.

— To bezwstydną kłamstwem — krzyczy Ribbentrop. — Wszystko, co mogę panu powiedzieć, to to, że sytuacja jest sakramencko napięta.

— Powiedział pan sakramencko napięta! To nie jest język meza stanu w takiej sytuacji Ribbentropa na kilka sekund zataka. Zwyczajny dyplomata, w dodatku Anglik, przyjmuje wobec niego rolę nauczyciela i

pozwała sobie skarcić go jak źle wychowanego ucznia. Podrywa się i krzyczy:

— Co pan powiedział?

Henderson podnosi się również. Dwaj mężczyźni stają naprzeciw siebie, gotowi się poblić. W oczach ich ukazują się błyski...

Po pewnym czasie uspokajają się i rozmowa zaczyna przybierać mniej burzliwy charakter. Ribbentrop wyciąga z kieszeni papier. Są to propozycje Hitlera, dotyczące uregulowania sprawy Gdańska i Korytarza.

— Może mi pan dać ten tekst, abym go przekazał swemu rządowi? — pyta Henderson.

— Nie! odpowiada Ribbentrop z zakłopotanym uśmiechem. — Nie mogę panu dać tego tekstu.

Henderson ponawia pytanie:

— Proszę o ten tekst dla mego rządu!

Ribbentrop rzuca na stół papier wściekłym gestem i mówi: — Przede wszystkim to jest już nieaktualne, ponieważ minęła północ, a żaden polski przedstawiciel się nie zjawia!

— Tak więc — mówi Henderson — wyznaczony przez was termin był ultimatum...?

Lord Edward Frederick Lindley Wood Halifax (1881—1959), w latach 1935—38 przewodniczący Izby Lordów, od 1938—40 minister spraw zagranicznych W. Brytanii, był zwolennikiem ugodowej wobec III Rzeszy polityki Chamberlaina i uczestniczył w zawarciu układu monachijskiego.

W dniach poprzedzających wybuch II wojny światowej i w czasie toczących się już walk na terenie Polski w dniach 1 i 2 września, zmienił nieco taktykę swego postępowania.

Gdy minister spraw zagranicznych Włoch Ciano w imieniu Mussoliniego zaproponował zwołanie konferencji w San Remo, w której prócz Niemiec i Włoch miały wziąć udział Wielka Brytania, Francja i Polska, Halifax odpowiedział kategorycznie: Nie!

Tego samego dnia 2 września o godz. 16.00 na posiedzeniu Rady Ministrów zdał relację o propozycji Włoch.

— Jakże możemy dyskutować — oświadczył — gdy nad nami wisi groźba podjęcia przez Hitlera nowych nieprzyjacielskich kroków w momencie dla niego najdogodniejszym? Co więcej, jak możemy decydować o losach terytoriów, które Niemcy mają już w swoich rękach? W ten sposób zaakceptowaliśmy tylko agresję. Moim zdaniem, możemy zgodzić się na konferencję tylko pod warunkiem, że Niemcy natychmiast wycofają swe wojska z terytorium Polski i z Gdańska, i przywróci się status quo z 31 sierpnia.

Rada Ministrów akceptuje jednoznacznie stanowisko Halifaxa. W pół godziny później o decyzji rządu brytyjskiego zostaje zawiadomiony rząd francuski i włoski. Ciano z polecenia Mussoliniego odrzuca propozycję rządu brytyjskiego, a w kilka godzin później rządu francuskiego.

Tej samej nocy rząd brytyjski zamierza wypowiedzieć wojnę Niemcom. Ale Quai d'Orsay domaga się zwłoki 48 godz. z powodu nie ukończonej jeszcze mobilizacji. Rząd brytyjski przedłuża ostatecznie termin do godziny 11 3 września. Minister spraw zagranicznych Francji Bonnet w porozumieniu z ministrem wojny zatwierdza termin — godzinę 11, ale pod warunkiem, że jutro W. Brytanii odda do dyspozycji Francji pewną ilość bombowców. Szybko brytyjski po konsultacji z premierem odpowiada odmownie.

Dnia następnego, 3 września, Halifax poleca Hendersonowi przekazać Hitlerowi ultimatum, w którym o ile Niemcy do godziny 11 nie wycofają swoich wojsk z Polski W. Brytanii wypowiedzi wojnę III Rzeszy.

Wobec braku odpowiedzi, o godzinie 11 wprowadzony został stan wojenny między W. Brytanią a Niemcami. Następnego dnia podobne ultimatum wstosował do Niemiec rząd francuski.

Złym duchem W. Brytanii okazał się Artur Neville Chamberlain (1869—1940), w latach 1937—40 premier Anglii. Był zwolennikiem porozu-

mienia z Niemcami i ustępstw na rzecz Hitlera. Był jednym z głównych inicjatorów układu monachijskiego w 1938 r. Do ostatniej chwili nie wierzył, a żeby Niemcy osmieliły się zaatakować Polskę. Nawet wtedy, gdy agresja hitlerowska stała się faktem dokonany, zwielał z wypowiedzeniem wojny. Kiedy pod silną presją rządu i posłów wypowiedział wrzeszczą wojnę Niemcom, ograniczył ją tylko do kilku lotów wywiadowczych samolotów i do zrzucania ulotek antyniemieckich na terenie III Rzeszy.

O nastroju w Londynie, jaki panował po agresji hitlerowskiej na Polskę w dniu 1 września, tak pisze w pamiętnikach ambasador polski w W. Brytanii Edward Raczyński:

„...W piątek 1 września wstąpiłem wcześniej po śnie przespanej nocy i około 10 otrzymałem z naszej ambasady w Paryżu wiadomość o ataku niemieckim na Polskę wraz z poleceniem, aby zawiadomić o tym oficjalnie naszych sojuszników... Do Halifaxa pojechałem bez pisanego dokumentu. Rozmowa była krótka. Powtórzyłem mu wiadomość z Paryża i zakończyłem słowami: „Zdaniem rządu polskiego nastąpił wypadek agresji przewidzianej artykułem 1 układu polsko-angielskiego o wzajemnej pomocy”. Halifax odpowiedział tylko jednym zdaniem: „Nie ma co do tego żadnej wątpliwości...”

O 3 po południu 1 września, pojechałem do Izby Gmin. Było to tak zwane „wielkie posiedzenie”. Sala przepelniona, galerie pełne ludzi rozpromienionych, na galerii dyplomatycznej prawie cały korpus... Premier wstał i wygłosił mowę, w której rzucił rekwizyt Hitlerowi i hitleryzmowi i zapowiedział walkę aż do ich zniszczenia. Potem przemawiali inni...

Nazajutrz w sobotę, 2 września, o 3 po południu zebrała się, jak dnia poprzedniego, Izba Gmin... Zza krzesła Speakera wychodził premier... Mówił cicho i wyrażał przypuszczenie, że jeżeli Francja ujawniła wahania w postawieniu ultimatum Hitlerowi, to być może zrobiła to „pod wpływem oczekiwanego rezultatu pokojowej inicjatywy Mussoliniego”. Izba wysłuchuje tych słów w niemym zdumieniu. Ale kiedy po premierze wstał poseł Greenwood, aby zająć stanowisko w imieniu Labour Party, z różnych stron sali padają okrzyki: „Mów za wszystkich, za całą W. Brytanię”. Okrzyki te wychodzą od liberałów i konserwatywistów. Greenwood mówi z największym umiarem, ale i z widocznym wzruszeniem. Dobiera słowa, aby wyrazić to, co wszyscy czują, a kiedy improwizując w pewnym momencie stwierdza, że wystąpienia po stronie polskiej wymaga „interes W. Brytanii”, z wielu ław podnoszą się głosy protestujące... Wróciłem do domu i wówczas, a może wcześniej, po południu, czego nie pamiętam dokładnie, zadzwonił do mnie Winston Churchill... Zapytał, co słyhać nowego, a kiedy odpowiedziałem, że decyzja Anglii i Francji jest wciąż w zawieszaniu, z wolna i głucho wystękał: „Ufam, ufam... że Anglia dotrzyma, dotrzyma swego...” Nie powiedział, głos mu wiał w gardło i przez telefon usłyszałem szloch, niespodziewany przeze mnie w tej chwili. Brzmiało w nim gorzkie upokorzenie, a także troska... Późno w nocy telefonuje i odwołuje mnie Duncan Sandys, zięć Churchilla. Mówi mi, że on, Churchill i jego grupa nie ustąpią placu, że za nimi stoją nie tylko labourzyści z moralnym poparciem, ale i szerokie kręgi w samym obozie konserwatywnym. Stoją w zgodnej decyzji niekapitulowania. O ile był się Chamberlain raz jeszcze zalał, to go obala. O godz. 1 w nocy mam telefon... że ultimatum będzie następnego dnia rano i to z kilkugodzinnym terminem...

W chwili wypowiedzenia wojny armia W. Brytanii liczyła ok. jednego miliona żołnierzy, 1750 samolotów i posiadała największe siły morskie, liczące ok. 700 jednostek, w tym 6 lotniskowców, 184 kontrtorpedowce, 57 łodzi podwodnych.

FRANCISZEK LEWANDOWSKI



Premier Churchill i gen. Sikorski przed frontem polskich oddziałów w Szkocii.

Dwa spojrzenia

Dokończenie ze strony 1

ogromny jeleń, którego ksiądz ubił zycznym ciosem. Jednakże w tym samym momencie na niebie ukazał się kielich, a nad nim Baranek Boży z chorągiewką i krzyżem. Książę padł na kolana i ślubował wybudować w tym miejscu klasztor dla augustianów. Legenda mówi, że słowa dotrzymał, a od słowa „Jeleń”, później „Wieluń” wzięli nazwę dzisiejszy Wieluń.

Tyle legenda. Natomiast dokumenty źródłowe nie pozostawiają wątpliwości, że Wieluń już w XIII wieku był ośrodkiem znaczącym. Po raz pierwszy w ówczesnych dokumentach pojawia się kasztelan wieluński Szymon Galicus, natomiast w zachowanym dokumencie Przemysława II z 1283 roku Wieluń figuruje jako miasto, tak, tak, miastol, które ma swoje prawa wzorować na prawach miasta Kalisza. W dwa lata później, Wieluń zostaje wyznaczony jako miejsce sądu dla rozstrzygnięcia sporu zaistniałego pomiędzy Henrykiem IV Probussem a biskupem wrocławskim Tomaszem II.

Wieluń rozwijał się szybciej niż inne, znajdujące się w pobliżu miasta. Sprzyjało temu położenie: tedy widły trzy ważne szlaki handlowe, pierwszy z Moraw do Kijawy, drugi z Wrocławia do Kujawy i trzeci z Małopolski do Wielkopolski.

U początków swoich dzieł Wieluń było przyczyną sporów i zatargów pomiędzy książętami opolskimi a poznańskimi i dopiero Łokietek przyłączył ziemie wieluńskie do Korony. Ale już za czasów Ludwika Węgierskiego, Wieluń dostał się ponownie księciu opolskiemu Władysławowi Opolczykowi, na co oburzał się Jan Długosz pisząc sarkastycznie o nowym królu polskim, że „pierwsze zaraz początki panowania skaził ukrzywdzeniem i osłabieniem tego Królestwa: Władysławowi bowiem, księciu opolskiemu ziemie wieluńskie, która dawniej zwała się rudzka... ze wszystkimi zamkami w tejże wieluńskiej... nadał i zapisał”. Ale zarząd książęcy wyszedł na dobre miastu: Wieluń stał się stolicą księstwa wieluńskiego i bil nawet własne srebrne denary, nie mówiąc już o rozbudowie i umocnieniu miasta. Dopiero wojna Władysława Jagiełły z Opolczykiem ponownie oderwała miasto od opolan wcielając je na zawsze do Korony.

Dzieje Wielunia są burzliwe, tragiczne i krwawe. Jako miasto o znaczeniu handlowym, leżące na rubieżach Korony ciągle przeżywało najazdy i było kością niezgody pomiędzy królami a książętami ościennymi. Tedy maszerował na Kraków Maksymilian Habsburg, tedy przewalił się szwedzki potop, tu w XVII w. wybuchła epidemia, a pożary dokończyły dzieła. Ale miasto nie poddawało się, ciągle odbudowywane, przywracane do niegdyśjszej świetności, przyciągało uwagę władców Polski, którzy obdarzali go coraz to nowymi przywilejami.

Na dziejach Wielunia zawazyło jego położenie geograficzne: przygraniczne miasto nęciło, by je przywłaszczyć. Ale to położenie sprawiło, iż w czasie wszystkich naszych zrywów narodowych miasto stawało się terenem ożywionej działalności partyzanckiej.

Ale prawdziwą katastrofę przyniósł 1 września 1939 roku, kiedy to na miasto spadły pierwsze bomby, jakie w ogóle spadły w tej wojnie. Trzy dwunastopiętrowe naloty Luftwaffe zrównały niemal miasto z ziemią. 73 proc. budynków leżało w gruzach, a przy życiu zostało zaledwie 200 osób.

AMOR WIELUNIS NOS IUNGIT

Kiedy przyjeżdża się do Wielunia obowiązkowo należy odwiedzić tamtejsze muzeum i spojrzeć się z tego kustoszem dr. Tadeuszem Olejnikiem. Bez tego wiedz o mieście będzie niepełna i fragmentaryczna. Kim jest ten człowiek? Latwiej odpowiedzieć na pytanie kim nie jest, bowiem wszystko, co dotyczy popularyzacji Wielunia miasto zawdzięcza

właśnie jemu. Mógłbym tu wymienić pozycje książkowe napisane przez Tadeusza Olejnika, a traktujące o dawnych dziejach grodu (m. in. Pieczęcie i herby miast ziem wieluńskich, Plany i widoki dawnego Wielunia. Zniszczenie miasta 1. IX. 1939 r., Upamiętnienie miejsca walki i męczeństwa w województwie sieradzkim 1939 — 1945, czy wrzesień przewodnik „Wieluń i okolice”), mógłbym przypomnieć jego zasługi położone przy organizowaniu Muzeum Ziemi Wieluńskiej... Wszystko to prawda i tylko prawda. Kiedy jednak zagadnąłem Tadeusza Olejnika na temat obchodów 700-lecia Wielunia, odpowiedział, że tym razem to nie on, lecz Towarzystwo Przyjaciół Wielunia. Ist-

wadzonego specjalnie z Belchatowskiego Okręgu Węglowego, na którym to glazie będzie umieszczona pamiątkowa tablica w dniu rozpoczęcia uroczystości jubileuszowych.

Kiedy wjeżdża się do miasta niemal na każdym domu, w każdym oknie wystawowym widnieje napis: „700 lat Wielunia” albo daty: „1283—1983” albo „VII wiek miasta Wielunia”. Na wszystkich pięciu drogach wylotowych z miasta zakłady pracy wnoszą bramy będące symbolami gościnności mieszkańców dla tych, którzy odwiedzają miasto w czasie jubileuszu. W pracach na rzecz miasta szczególnie wyróżniają się m.in. Przedsiębiorstwo Komunalne, Wieluńskie Przedsiębiorstwo Budowlane, Wie-

nym, podczas gdy wnoszenie nowych domów nie osiągnie nawet przyrostu arytmetycznego. Co prawda władze wspierają budownictwo indywidualne, lecz średnio w roku ubiega się o zezwolenia 50—80 osób. Tak więc okres oczekiwania na własny kąt ocenia się tu na 10 lat.

Natomiast zupełnie dobrze postępują prace na rzecz miasta. Poczynając od 1975 roku wybudowano tu m.in. funkcjonalny dworzec PKS na 14 stanowisk, wzniesiono amfiteatr, nowy pawilon handlowy „Sezam”, wykonano ujęcie wody przy ul. Częstochowskiej, wybudowano ciepłownię ogólnomiastową, przekanalizowano ulice, rozlewnię gazu wraz z zapleczem, a na ważniejszych

skrzyżowaniach ustawiono sygnalizację świetlną.

W Wieluniu są 33 zakłady pracy oraz 10 innych, których dyrekcje znajdują się w innych miejscowościach. Udział produkcji przemysłowej w stosunku do ogólnowojewódzkiej wynosi 14 proc., a budowlano-montażowej 35 proc. Dwudziestotysięczną społeczność Wielunia obsługuje 280 punktów rzemieślniczych. Przeważają zawody: budowlane, krawiectwo, ślusarstwo. W sturkurs rzemieślnikom prywatnym przychodzi zakłady uspołecznione, których jest 67. Ale mimo to na usługi czeka się długo, szczególnie w branży krawieckiej i szewskiej. Najgorzej jest jednak z usługami radiowo-telewizyjnymi. Brak części i podzespołów sprawia że pewnych usług nie świadczą się w ogóle.

Sporo jest w Wieluniu obiektów kulturalnych. Na pierwsze miejsce wysuwa się wspomniane już tu Muzeum Ziemi Wieluńskiej. Dobrze prosperuje Miejska Biblioteka Publiczna i Miejski Dom Kultury, a także kluby: ZNP oraz Klub Osiedlowy Wieluńskiej Spółdzielni Mieszkaniowej. Jest jedno kino i nie zanosi się, by wkrótce powstało drugie. Obok stadionu WKS usytuowano amfiteatr.

Dobrze rozwija się sport. Piłkarze grają w lidze okręgowej, ale w tym roku byli przed szansą wejścia do III ligi. Z klubu kolarskiego wywodzi się dwaj mistrzowie Polski w jeździe parami: Jan Majchrowski i Sławomir Podwójniak. Sporymi osiągnięciami może poszczycić się sek-

cja siatkówki: Bogusław Kaniński gra w reprezentacji kraju, a jego dwaj młodsi koledzy zostali powołani do reprezentacji Polski juniorów.

W Wieluniu są 3 szkoły podstawowe plus szkoła specjalna. Podstawowe mają numerację 1, 4, 5. Od dawna już nie ma szkół nr 2 i 3. Zlikwidowane. I właśnie co najmniej o dwie szkoły jest za mało. Ta, z osiedla XXV-lecia jest obecnie rozbudowywana, bowiem kiedyś nie przewidziano, że samo osiedle będzie się powiększało. Natomiast w jedynce zajęcia będą trwały do 1930. Na trzy zmiany. Najnowsze warunki ma czwórka, ale jest ona też najmniejsza i nie pomieści ani jednego ucznia więcej.

Obchody jubileuszowe rozpoczęły się w pamiętany dla miasta tragiczną rocznicę września 1939 roku i trwać będą do 18. IX. br. Zakończy je koncert zespołu kameralnego Filharmonii Łódzkiej. Program jest bogaty, organizatorzy zadbałi, aby zaprezentować to wszystko, co służy miastu, jego mieszkańcom, kulturze. M.in. kiermasz książek, biesiada wieluńskich poetów, wystawa prac plastyków amatorów, zakładka, występy zespołów artystycznych, dożynki, zawody sportowe.

Jak wspominałem na wstępie, historia Wielunia związana jest nierozdzielnie z historią kraju, jest jej częścią składową, fragmentem barwnym i tragicznym narazem. Jubileusz jest okazją do przypomnienia tych dzieł i w ich kontekście pokazania dnia dzisiejszego. Sądząc z przyczyn i zaangażowania społecznego przedsięwzięcie się powiedzie.

Ze swej strony chciałbym podpowiedzieć ojcom miasta i wszystkim organizatorom obchodów jubileuszowych, aby nie zapomnieli o wieluńskim cmentarzu, który jest pomnikiem chwaly, a zarazem pamięci. Wśród grobów jest tam grób Joanny Zubrowej — markietanki wojsk polskich, tak barwnie opisaną w powieści Wacława Gąsiorowskiego „Huragan”, a która zmarła w Wieluniu na cholera w 1852 r. Pośród wiekowych drzew i dziko rosnących kwiatów spoczywa tu także Felcja Rymarkiewicz — założycielka muzeum wieluńskiego, pierwszego kina, szkoły zawodowej itp. Wielka działaczka oświatowa i społeczna.

Jest tu także grób szczególny: spoczywa na polskiej ziemi młoda radziecka radiotelegrafistka Masza Kulikowa, która wraz z polsko-radziecką grupą desantową została zrzucona w okolice Wielunia we wrześniu 1944 roku. Zginęła jako żołnierz, z bronią w ręku w walce z Niemcami.

Jest tu także kwatery poległych żołnierzy w dniu 1 września 1939 r., a także mogiły chorych z wieluńskiego szpitala, na który spadła pierwsza bomba rozpoczynająca bombardowanie polskich miast, miasteczek i wsi.

Na cmentarzu stoi także pomnik ku czci bohaterów poległych w walce o zjednoczenie Śląska z Macierzą z czasów I i III powstania śląskiego.

W Lasce Miejskiej (rozległy park w samym mieście) jest jeszcze jeden godny pamięci pomnik wystawiony ku czci bohaterskich powstańców 1830 roku. W tym miejscu w tamtych czasach znajdowało się wysypisko śmieci oddalone od miasta. Tam wieszano powstańców chcąc w ten sposób dodatkowo ich pohanić. Dziś Lasce Miejskiej stanowi miejsce wypoczynku dla wielunian.

Tyle moich uwag i spostrzeżeń dotyczących Wielunia. I choć mam sceptyczny stosunek do wszelkiego rodzaju obchodów rocznic i jubileuszów, ten wieluński popieram z całego serca.

Wśród prezentowanych książek na szczególną uwagę zasługują „Zbiór konstytucji sejmowych” wydanych w drukarni Kożuchowskich w Mokrsku pod Wieluniem w XVIII w. Sporo jest też wydawnictw z okresu międzywojennego i tych, które ukazały się po wyzwoleniu, a traktują o Wieluniu.

Obchody jubileuszowe rozpoczęły się w pamiętany dla miasta tragiczną rocznicę września 1939 roku i trwać będą do 18. IX. br. Zakończy je koncert zespołu kameralnego Filharmonii Łódzkiej. Program jest bogaty, organizatorzy zadbałi, aby zaprezentować to wszystko, co służy miastu, jego mieszkańcom, kulturze. M.in. kiermasz książek, biesiada wieluńskich poetów, wystawa prac plastyków amatorów, zakładka, występy zespołów artystycznych, dożynki, zawody sportowe.

Jak wspominałem na wstępie, historia Wielunia związana jest nierozdzielnie z historią kraju, jest jej częścią składową, fragmentem barwnym i tragicznym narazem. Jubileusz jest okazją do przypomnienia tych dzieł i w ich kontekście pokazania dnia dzisiejszego. Sądząc z przyczyn i zaangażowania społecznego przedsięwzięcie się powiedzie.

Ze swej strony chciałbym podpowiedzieć ojcom miasta i wszystkim organizatorom obchodów jubileuszowych, aby nie zapomnieli o wieluńskim cmentarzu, który jest pomnikiem chwaly, a zarazem pamięci. Wśród grobów jest tam grób Joanny Zubrowej — markietanki wojsk polskich, tak barwnie opisaną w powieści Wacława Gąsiorowskiego „Huragan”, a która zmarła w Wieluniu na cholera w 1852 r. Pośród wiekowych drzew i dziko rosnących kwiatów spoczywa tu także Felcja Rymarkiewicz — założycielka muzeum wieluńskiego, pierwszego kina, szkoły zawodowej itp. Wielka działaczka oświatowa i społeczna.

Jest tu także grób szczególny: spoczywa na polskiej ziemi młoda radziecka radiotelegrafistka Masza Kulikowa, która wraz z polsko-radziecką grupą desantową została zrzucona w okolice Wielunia we wrześniu 1944 roku. Zginęła jako żołnierz, z bronią w ręku w walce z Niemcami.

Jest tu także kwatery poległych żołnierzy w dniu 1 września 1939 r., a także mogiły chorych z wieluńskiego szpitala, na który spadła pierwsza bomba rozpoczynająca bombardowanie polskich miast, miasteczek i wsi.

Na cmentarzu stoi także pomnik ku czci bohaterów poległych w walce o zjednoczenie Śląska z Macierzą z czasów I i III powstania śląskiego.

W Lasce Miejskiej (rozległy park w samym mieście) jest jeszcze jeden godny pamięci pomnik wystawiony ku czci bohaterskich powstańców 1830 roku. W tym miejscu w tamtych czasach znajdowało się wysypisko śmieci oddalone od miasta. Tam wieszano powstańców chcąc w ten sposób dodatkowo ich pohanić. Dziś Lasce Miejskiej stanowi miejsce wypoczynku dla wielunian.

Tyle moich uwag i spostrzeżeń dotyczących Wielunia. I choć mam sceptyczny stosunek do wszelkiego rodzaju obchodów rocznic i jubileuszów, ten wieluński popieram z całego serca.

Obchody jubileuszowe rozpoczęły się w pamiętany dla miasta tragiczną rocznicę września 1939 roku i trwać będą do 18. IX. br. Zakończy je koncert zespołu kameralnego Filharmonii Łódzkiej. Program jest bogaty, organizatorzy zadbałi, aby zaprezentować to wszystko, co służy miastu, jego mieszkańcom, kulturze. M.in. kiermasz książek, biesiada wieluńskich poetów, wystawa prac plastyków amatorów, zakładka, występy zespołów artystycznych, dożynki, zawody sportowe.

Jak wspominałem na wstępie, historia Wielunia związana jest nierozdzielnie z historią kraju, jest jej częścią składową, fragmentem barwnym i tragicznym narazem. Jubileusz jest okazją do przypomnienia tych dzieł i w ich kontekście pokazania dnia dzisiejszego. Sądząc z przyczyn i zaangażowania społecznego przedsięwzięcie się powiedzie.

Ze swej strony chciałbym podpowiedzieć ojcom miasta i wszystkim organizatorom obchodów jubileuszowych, aby nie zapomnieli o wieluńskim cmentarzu, który jest pomnikiem chwaly, a zarazem pamięci. Wśród grobów jest tam grób Joanny Zubrowej — markietanki wojsk polskich, tak barwnie opisaną w powieści Wacława Gąsiorowskiego „Huragan”, a która zmarła w Wieluniu na cholera w 1852 r. Pośród wiekowych drzew i dziko rosnących kwiatów spoczywa tu także Felcja Rymarkiewicz — założycielka muzeum wieluńskiego, pierwszego kina, szkoły zawodowej itp. Wielka działaczka oświatowa i społeczna.

Jest tu także grób szczególny: spoczywa na polskiej ziemi młoda radziecka radiotelegrafistka Masza Kulikowa, która wraz z polsko-radziecką grupą desantową została zrzucona w okolice Wielunia we wrześniu 1944 roku. Zginęła jako żołnierz, z bronią w ręku w walce z Niemcami.

Jest tu także kwatery poległych żołnierzy w dniu 1 września 1939 r., a także mogiły chorych z wieluńskiego szpitala, na który spadła pierwsza bomba rozpoczynająca bombardowanie polskich miast, miasteczek i wsi.

Na cmentarzu stoi także pomnik ku czci bohaterów poległych w walce o zjednoczenie Śląska z Macierzą z czasów I i III powstania śląskiego.

W Lasce Miejskiej (rozległy park w samym mieście) jest jeszcze jeden godny pamięci pomnik wystawiony ku czci bohaterskich powstańców 1830 roku. W tym miejscu w tamtych czasach znajdowało się wysypisko śmieci oddalone od miasta. Tam wieszano powstańców chcąc w ten sposób dodatkowo ich pohanić. Dziś Lasce Miejskiej stanowi miejsce wypoczynku dla wielunian.

Tyle moich uwag i spostrzeżeń dotyczących Wielunia. I choć mam sceptyczny stosunek do wszelkiego rodzaju obchodów rocznic i jubileuszów, ten wieluński popieram z całego serca.

Raz na 700 lat

nie od pięciu lat, a nie ma inicjatywy na rzecz miasta, w której by nie uczestniczyło. Zapraçałem wówczas porozmawiać z przewodniczącym TPW, i wówczas okazało się, że jest nim on, Tadeusz Olejnik. Czyli i wszystko na swoim miejscu.

TPW powołało Komitet Obywatelski Obchodów Rocznicy Wielunia, do którego wciągnięto ponad 20 osób, wystosowując jednocześnie apel do zakładów pracy o pomoc. Zwrócono się także do mieszkańców, by pomogli w upiększeniu i w uporządkowaniu ulic, dróg i skwerów. Pomoc przeszła wszelkie oczekiwania. Wieluń robi wielkie sprzątanie i pucuje się na wysoki połysk.

Kiedy przyjechałem tu i usiłowałem trafić na centralny plac miasta, gdzie pamiętałem, moza było zaparkować samochód, znalazłem ulicę dojazdową zamkniętą, a plac w remoncie: trwa wykładanie powierzchni marmurowymi czy też innymi trwałymi płytami. Klucząc po mieście, a potem już chodząc widziałem się stary wyrzuconej ziemi, dziesiątki ludzi pracujących w parkach, na zielencach, przy porządkowaniu obejść domów, kopyjących rowy i przygotowyjących klomby. 21 budynków otrzyma nową lub odnowioną elewację, 3 tys. metrów chodnika zostanie wymienione, a na odcinku półtora kilometra poprawi się nawierzchnię ulic. Duże wrażenie robią roboty prowadzone obok murów Muzeum: trwają prace nad zagospodarowaniem restaurowanych już od kilku lat murów obronnych, a na rozległym skwerze ustawianie ogromnego glazu (ponad 30 ton!) spro-

wadzonego specjalnie z Belchatowskiego Okręgu Węglowego, na którym to glazie będzie umieszczona pamiątkowa tablica w dniu rozpoczęcia uroczystości jubileuszowych.

Kiedy wjeżdża się do miasta niemal na każdym domu, w każdym oknie wystawowym widnieje napis: „700 lat Wielunia” albo daty: „1283—1983” albo „VII wiek miasta Wielunia”. Na wszystkich pięciu drogach wylotowych z miasta zakłady pracy wnoszą bramy będące symbolami gościnności mieszkańców dla tych, którzy odwiedzają miasto w czasie jubileuszu. W pracach na rzecz miasta szczególnie wyróżniają się m.in. Przedsiębiorstwo Komunalne, Wieluńskie Przedsiębiorstwo Budowlane, Wie-

skrzyżowaniach ustawiono sygnalizację świetlną.

W Wieluniu są 33 zakłady pracy oraz 10 innych, których dyrekcje znajdują się w innych miejscowościach. Udział produkcji przemysłowej w stosunku do ogólnowojewódzkiej wynosi 14 proc., a budowlano-montażowej 35 proc. Dwudziestotysięczną społeczność Wielunia obsługuje 280 punktów rzemieślniczych. Przeważają zawody: budowlane, krawiectwo, ślusarstwo. W sturkurs rzemieślnikom prywatnym przychodzi zakłady uspołecznione, których jest 67. Ale mimo to na usługi czeka się długo, szczególnie w branży krawieckiej i szewskiej. Najgorzej jest jednak z usługami radiowo-telewizyjnymi. Brak części i podzespołów sprawia że pewnych usług nie świadczą się w ogóle.

Sporo jest w Wieluniu obiektów kulturalnych. Na pierwsze miejsce wysuwa się wspomniane już tu Muzeum Ziemi Wieluńskiej. Dobrze prosperuje Miejska Biblioteka Publiczna i Miejski Dom Kultury, a także kluby: ZNP oraz Klub Osiedlowy Wieluńskiej Spółdzielni Mieszkaniowej. Jest jedno kino i nie zanosi się, by wkrótce powstało drugie. Obok stadionu WKS usytuowano amfiteatr.

Dobrze rozwija się sport. Piłkarze grają w lidze okręgowej, ale w tym roku byli przed szansą wejścia do III ligi. Z klubu kolarskiego wywodzi się dwaj mistrzowie Polski w jeździe parami: Jan Majchrowski i Sławomir Podwójniak. Sporymi osiągnięciami może poszczycić się sek-

cja siatkówki: Bogusław Kaniński gra w reprezentacji kraju, a jego dwaj młodsi koledzy zostali powołani do reprezentacji Polski juniorów.

W Wieluniu są 3 szkoły podstawowe plus szkoła specjalna. Podstawowe mają numerację 1, 4, 5. Od dawna już nie ma szkół nr 2 i 3. Zlikwidowane. I właśnie co najmniej o dwie szkoły jest za mało. Ta, z osiedla XXV-lecia jest obecnie rozbudowywana, bowiem kiedyś nie przewidziano, że samo osiedle będzie się powiększało. Natomiast w jedynce zajęcia będą trwały do 1930. Na trzy zmiany. Najnowsze warunki ma czwórka, ale jest ona też najmniejsza i nie pomieści ani jednego ucznia więcej.

Obchody jubileuszowe rozpoczęły się w pamiętany dla miasta tragiczną rocznicę września 1939 roku i trwać będą do 18. IX. br. Zakończy je koncert zespołu kameralnego Filharmonii Łódzkiej. Program jest bogaty, organizatorzy zadbałi, aby zaprezentować to wszystko, co służy miastu, jego mieszkańcom, kulturze. M.in. kiermasz książek, biesiada wieluńskich poetów, wystawa prac plastyków amatorów, zakładka, występy zespołów artystycznych, dożynki, zawody sportowe.

Jak wspominałem na wstępie, historia Wielunia związana jest nierozdzielnie z historią kraju, jest jej częścią składową, fragmentem barwnym i tragicznym narazem. Jubileusz jest okazją do przypomnienia tych dzieł i w ich kontekście pokazania dnia dzisiejszego. Sądząc z przyczyn i zaangażowania społecznego przedsięwzięcie się powiedzie.

Ze swej strony chciałbym podpowiedzieć ojcom miasta i wszystkim organizatorom obchodów jubileuszowych, aby nie zapomnieli o wieluńskim cmentarzu, który jest pomnikiem chwaly, a zarazem pamięci. Wśród grobów jest tam grób Joanny Zubrowej — markietanki wojsk polskich, tak barwnie opisaną w powieści Wacława Gąsiorowskiego „Huragan”, a która zmarła w Wieluniu na cholera w 1852 r. Pośród wiekowych drzew i dziko rosnących kwiatów spoczywa tu także Felcja Rymarkiewicz — założycielka muzeum wieluńskiego, pierwszego kina, szkoły zawodowej itp. Wielka działaczka oświatowa i społeczna.

Jest tu także grób szczególny: spoczywa na polskiej ziemi młoda radziecka radiotelegrafistka Masza Kulikowa, która wraz z polsko-radziecką grupą desantową została zrzucona w okolice Wielunia we wrześniu 1944 roku. Zginęła jako żołnierz, z bronią w ręku w walce z Niemcami.

Jest tu także kwatery poległych żołnierzy w dniu 1 września 1939 r., a także mogiły chorych z wieluńskiego szpitala, na który spadła pierwsza bomba rozpoczynająca bombardowanie polskich miast, miasteczek i wsi.

Na cmentarzu stoi także pomnik ku czci bohaterów poległych w walce o zjednoczenie Śląska z Macierzą z czasów I i III powstania śląskiego.

W Lasce Miejskiej (rozległy park w samym mieście) jest jeszcze jeden godny pamięci pomnik wystawiony ku czci bohaterskich powstańców 1830 roku. W tym miejscu w tamtych czasach znajdowało się wysypisko śmieci oddalone od miasta. Tam wieszano powstańców chcąc w ten sposób dodatkowo ich pohanić. Dziś Lasce Miejskiej stanowi miejsce wypoczynku dla wielunian.

Tyle moich uwag i spostrzeżeń dotyczących Wielunia. I choć mam sceptyczny stosunek do wszelkiego rodzaju obchodów rocznic i jubileuszów, ten wieluński popieram z całego serca.

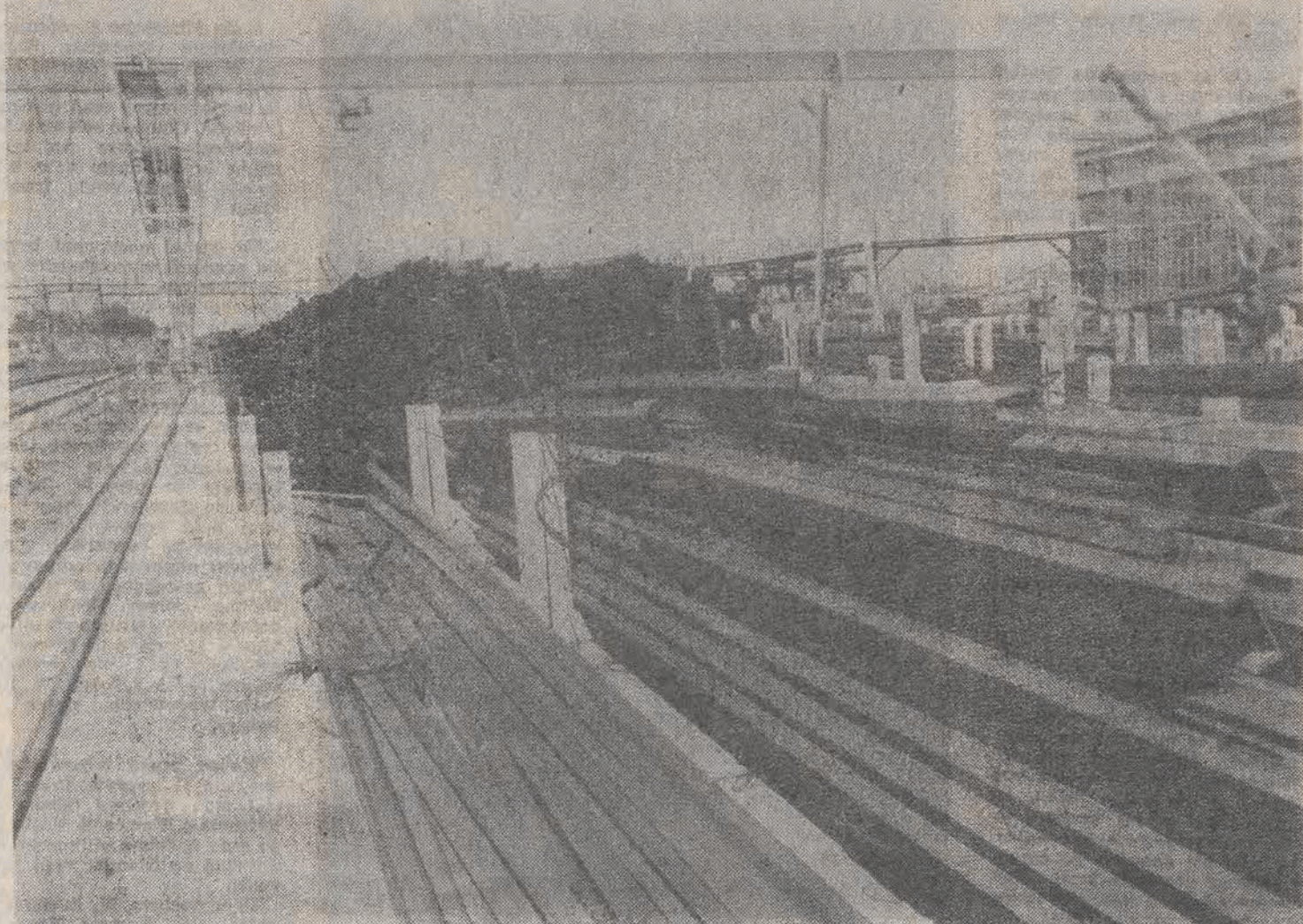


Foto: W. Chorościński

Dokończenie ze strony 1

Wieluńskiej, maturzystom wieluńskiego liceum im. Kościuszki z lat 1925-26, żołnierzom AK. Dwa nazwiska: „Chuchro” — mjr saperów Jerzy Lewiński, szef ZW „ODWET”, dowódca saperów KEDYW-u okręg Warszawa. Rozstrzelany 24 listopada 1943 r. „Pomian” — mjr Józef Grabiński — „Hubalczyk”. Komendant AK miasta Łodzi. Zamordowany 17 lipca 1942 r.

Ktoś pamiętał o ich życiu i walce, ktoś chciał zostawić pamięć o nich „młodym i ktoś zapomniał. Znowu podzielił na tych słusznie i niesłusznie poległych. Dwa lata temu, na odsłonięciu tablicy była młodzież, ale zabrakło ZBoWiDu... ponoć pod niesłusznymi auspiciami odbyła się uroczystość...

Może zabrakło serca, może opieki, bo przed rokiem ktoś zniżył umieszczone na tablicy fotografie obu poległych.

Szkoda, że nie masz, kto by naprawił zło, a jubileusz na progi.

SĄ DWIE SZKOŁY

obchodzenia wielkiej fety. Jedna — zastaw się, a postaw się. Pozostaje po niej stos talerzy, ciężka głowa oraz parę wymalowanych haseł. Druga — w myśl której każdy pożar jest lepszy od jubileuszu — dezorganizuje życie i pracę całej społeczności, pozostawia totalny bałagan i nerwową atmosferę. Jest też szkoła mieszańska, która zakłada, że najlepiej i najefektywniej potrafią coś zrobić brać Polacy „z okazji”. Okazję — jak wiadomo trzeba mieć, żeby się napić, żeby zrobić akcję, albo... żeby ruszyć z miejsca parę zaniedbanych spraw. Z takiego założenia wyszła gromadka energicznych hobbistów miasta Wielunia. We wszystkich możliwych miejscach wiszą wielkie plakaty — apele:

„Obywatele! Mieszkańcy Wielunia! Nasze miasto chlubnie zapisało się w ojczywej historii i ma swój wkład w ogólnopolskim skarbcu kultury narodowej. Z uwagi na te wartości, zasłużenie będzie obchodzić w 1983 r. Jubileusz 700-lecia nadania praw miejskich... Zwracamy się do każdego, kto uczuciowo z naszym miastem jest związany o aktywne włączenie się do działań dla uświetnienia... o przygotowanie miasta, ład, porządek, czystość. Nasze miasto świadczy o nas!”

W życiu nie spotkałam miasta które niechlubnie zapisało się w historii... Nie, tak nie wolno! Byłoby niesprawiedliwością szyć z normalnych w końcu ambicji, by różnić się czymś od szarego tł.

Na rynku robota wrę. Układanie nowej nawierzchni posuwa się w piorunującym tempie.

— Pani, a nie będzie to czasem ślizgawka-laminówka? Spadnie byle deszcz i ludzie będą przeklinać jubileuszowe marmury?

— Co też pani?! Dwaście lat leżał piaskowiec i nikt sobie tu nog nie łamał. Teraz kładziemy dokładnie to samo, tylko nowe, bo stare całe w dziurach...

Gospodarze miasta twierdzą, że co ma wisieć, nie utonie. Porządki, remonty i ogólne szorowanie uszu i szyi, i tak należało zrobić. A tak?, proszę, jak szybciej się ludziom pracuje. Bo feta niedługo. Towarzystwo Przyjaciół Wielunia, Naczelnik Miasta i Gminy oraz Obywatelski Komitet Obchodów 700-lecia, wzięli na siebie organizację uroczystości i scenariusz prac do wykonania. Lista festiwalowa, a kończą ją sprawy „do załatwienia”, czyli postulaty chwytliwe niewykonalne z braku sił i środków, o których należy jednak pamiętać. Podstawową jednak ideą jest walor wychowawczy i konsolidujący społeczność miasta. Poza materialną stroną obchodów, chodzi o coś jeszcze. O przypomnienie ludziom, że za plecami mają pokolenia takich samych zwykłych ludzi i wielki codziennej, upartej pracy. A wszystko to składa się na dziedzictwo warte szacunku i dumy. Koniec końców ludziom potrzebny jest do życia nie tylko chlebek. Nie co dzień jest świętego Jana, więc skoro już jest, to niech zostanie potem jakiś ślad w pamięci.

SCEPTYCY SARKAJA

ze sprząta się jeno rynek i co okazalsze gmaczy, w podwórkach zasie — brud, liszaje oblatznych tyńków i zapaszek zandebania. Znowu — powiadają — wymalują fasadę, a grzyb jak był, tak będzie.

Rajcy miejscy uważają, że na fasadowe malunki mało kogo dzisiaj stać, bo w końcu kiedys i tak trzeba będzie to poprawiać. Wszystkie koszty prac przygotowawczych nie obciążają bieżącego budżetu Rady Narodowej, lecz pochodzą z nadwyżki wypracowanej w 1982 roku. Te 25 milionów i tak nie wystarczyłyby, gdyby nie ogrom pracy społecznej podjętej przez obywateli, zakłady pracy i instytucje. Każdy dołożył co mógł i ile mógł, ale też nikt dzisiaj nie może sobie pozwolić na dęty altruizm. Każdy patrzy, czy robota ma sens i czy przyniesie trwałe pożytki.

Nie wszystkie pomysły wydają się być szczęśliwe. Np. szykowanie bram powitalnych dla miłych gości lepiej byłoby zastąpić staraniem, by gości mieli co i gdzie zjeść i przespać się w ludzkich warunkach. Jedyny hotelik w Wieluniu, choć stosunkowo świeżo wyremontowany, nie posiada przyzwoitego zaplecza sanitarnego, jest przy tym przeraźliwie smutny. Restauracja hotelowa w remoncie, końca nie widać. Pozostają dwa bary i dwie restauracje. Jedna z nich tylko oszczędza głodnym towarzyszom piłkarskim transportery piwa. Ma za to inną zaletę. Prowadzi ją w sjenjacji pono Arab. Musi co fałszywy, bo nazwał swą firmę „Alhambra”. A w szkole uczyli, że „Alhambra” (znaczy „czerwony”) pałac Maurów w hiszpańskiej Grenadzie, nazwę swą wziął od koloru płytek ceramicznych użytych dla wykończenia ścian.

Malowanie plasz, reklam i haseł zatracą płem i fotomontażem. Lepiej uporządkować znaki drogowe, poprawić tablice komunikacyjne i informacyjne. Pożyteczniej też nie targać wielkiego głazu, na którym zawieszono tablicę upamiętniającą jubileusz (koszt transportu, dźwigu, ludzkiego potu). Piękniej — namówić obywateli, by zechcieli uciąć swe miasto, sadząc drzewa. A ojcowie miasta też mogą mieć swe jubileuszowe drzewo... gościu siadaj pod mym liściem, a odpocznij sobie...

W planie imprez aż gesto od atrakcji sportowych, kulturalnych i oficjalnych. Zaczęło się apelem przeciw wojnie, w rocznicę tragicznego dla Wielunia września 1939 roku, skończy się uczta dla dusz — koncertem łódzkich filharmoników. Będą wystawy plastyczne, konkursy, prelekcje i publikacje. Zobaczą zalatani obywatele, znający na co dzień jedną tylko trasę: praca — sklep — dom, że można inaczej, że warto coś jeszcze. I dobrze. Było tylko chęć i zapal nie odeszły w przeszłość razem z pamięcią o święcie. Może lepiej obejść fetę generalnymi porządkami w administracji i służbach komunalnych obsługujących mieszkańców? Dopiero by pamiętali ludzie jubileusz, jakby z tej okazji straciło osadę paru nadętych i niekompetentnych urzędników. Po resztę pomysłów idę do naczelnika Miasta i Gminy — JULIANA SEMBY.

PANANACZELNIKOWE MARZENIA

zaczynają się od zdementowania obaw obywateli o fasadowość porządków i remontów. Teraz, gdy ciepło, robi się przede wszystkim to, czego zima zrobić się nie da. Więc drapie się do gołej cegły stare tyńki, oordadnie się gruntuje i maluje. Żadnej prowicki. Zimą będą kontynuowane remonty wnętrz tam, gdzie się ich nie skończyło. W miarę możliwości będzie się robić jak najwięcej. Z możliwościami zaś bywa różnie.

Gdyby naczelnik trzymał w ręku dwa miliardy z kawałkiem rocznego budżetu, miał je czym i kim przerobić oraz położył



Foto: W. Chorosiński

Na zapleczu jubileuszu

rękę na przedsiębiorstwach budowlano-montażowych — byłby lorderem. Póki co, trzeba umieć pracować z ludźmi, którzy sporo mogą pomóc. Dlatego przy urzędzie naczelnika powołano Radę Dyrektorów wszystkich przedsiębiorstw i instytucji w mieście i rejonie. Radą dowodzi żelazna dama — szef miejscowego oddziału Narodowego Banku, pani Juzal. W ten sposób oszczędza się grozy nekajającej polską rzeczywistość — wieczystych uzgodnień. Wszyscy są w kupie i ze wspólnego prania mózgow wychodzi plan najważniejszych działań. Lista jest przydługa. Pan naczelnik ogranicza jednak swe marzenia do siedmiu sztuk zasadniczych... i ze dwóch milionów pobocznych.

Po pierwsze — WODA. Wielun bardzo cierpi na jej brak. Konieczne inwestycje przekraczają możliwości, nie tylko miasta, nawet województwa. Trzeba pomocy z samej góry. Potrzeba ponad miliarda złotych, by we wsi Wielgie zrobić centralne ujęcie wody dla Wielunia i pociągnąć do miasta wodociąg długości 18 kilometrów.

Po drugie — skanalizować miasto (50 proc. zabudowy opiera się na systemie szamba), rozbudować i zmodernizować miejską oczyszczalnię ścieków. Jest to sprawa zasadniczej wagi dla higieny miasta, a w konsekwencji — ochrony środowiska. Nie wolno dopuścić do wizji wegetacji na śmietniku.

Po trzecie — ciepło. Największy potencjał przemysłowy miasta — Zakład Urządzeń Galwanicznych i Laktacyjnych może własnym ciepłem technologicznym ogrzać całe miasto. Ogromny rezerwuwar ciepła wykorzystany jest zaledwie w 30 proc., bę nie ma sieci ciepłej. Potrzebny jest ciepociąg dla szpitala i nowych osiedli.

Zdrowie — to czwarte marzenie. Duży, na 500 łózek, szpital, mimo ruszającego nowego pawilonu pulmonologicznego na 90 łózek cierpi na ciasnotę, brak wody i ciepła. Szpital gościnnie łoczy się ze specjalistycznymi przychodniami, których nie ma dokąd wyprowadzić. ZUGIL odstąpił 1000 m kw. powierzchnię w biurówku na potrzeby służby zdrowia, ale mimo to ciągle brak obiektu z prawdziwego zdarzenia.

W końcu ile można wisieć u kłamki potężnego zakładu i domagać się datków. I tak już złośliwcy twierdzą, że to nie fabryka istnieje w mieście Wieluniu lecz, że przy ZUGIL-u siedzi Wielun.

Szóstą i siódme naczelnikowe marzenie — o wiecznie dziurawej worki w PRL — mieszkania i oświata. W tej pierwszej kwestii i tak jest lepiej niż gdzie indziej, bo plany budownictwa są wykonywane w całości, w dodatku po niższych kosztach własnych. Całość — budownictwo spółdzielcze, zakładowe i patronackie — to 250-300 mieszkań rocznie. Jeśli mądrze się policzy zamiary na sily, to być może da się skrócić czas oczekiwania na mieszkanie do pięciu lat. W oświacie — jak wszędzie — brakuje szkół, przedszkoli, żłobków, świetlic, klubów i bibliotek. Nie nowego. I to by było. Wiadomo — marzenia jak ptaki szubują po niebie, jak nie pada.

PAMIĘĆ I KULTURA NIEDUŻA!

W parku miejskim stoi — remontowany właśnie — Miejski Dom Kultury, w założeniu centrum ogniskujące aktywność kulturalną dorosłych mieszkańców. Budynek MDK to dawna synagoga.

Miał przed wojną Wielun blisko czterotysięczną społeczność

żydowską. Wojna zmiotła ten świat, pozostawiając jedynie krwawą pamięć i dawne miejsce kultu. Ludzie mówią, że gdy budowano synagogę, w fundamente wmurowano Torę, a w cztery narożniki — złote monety. Na pomyślność, na trwanie, na wieczną pamięć. Szczęśliwie obeszła się historia z tym tak ludzkim marzeniem pozostawienia po sobie śladu w pamięci następnych pokoleń. Szkoda, że w programie jubileuszu nie znalazło się miejsce, dla, niechby drobnego, ale przecież istniejącego dęgdys ulamka historii społeczności żydowskiej, wartej uczczenia przez pamięć wymordowanych ludzi.

Należy oczekiwać, że remont Domu Kultury pociągnie za sobą także remont kultury. Czy bowiem nieduże miasto musi mieć niedużą kulturę? Wcale niekoniecznie trzeba się obracać w schemacie kolek warszawskich i turnieju ping-ponga. Narybek młodych, pielęgnowany w Młodzieżowym Domu Kultury pod wodzą dyrektora Poraszkę, może i powinien przewrócić senny żywot małomiasteczkowej nudy. Tymczasem, jak się zdaje, bardziej dorośli starają się o sposoby rozruszania młodzieży, niż ona sama z siebie chce wyjść poza oklepaną dyskotekę.

W programie imprez świątecznych przewidziano zakładanie młodzieży szkolnej, no i oczywiście sport przez nią będzie zdominowany. Trochę tego mało, jak na liczbę młodych obywateli. Słabo coś daje się wyczuć ich obecność. Starsi dobrotliwie usprawiedliwiają, że to czas wakacji, ale czy nie jest to czasem rozgrzeszenie własnych, nieświeżych sumień pedagogicznych?

Żeby się młodym chciało, trzeba najpierw wpoić nawyk i potrzebę aktywnej postawy. Nie czekania na gotowe, bo się od stroju należy. Nie się nie należy za darmo. Tylko że tego trzeba nauczyć w szkole i w domu — świecą przykładem!

Młody człowiek to ma do siebie, że słabo przekonuje go dretwa mowa, za to, bezwiednie nawet, chłonie przykład. Dobry i zły. A najbardziej to on lubi spróbować sam.

Może więc lepszy skutek odniosłaby propozycja samodzielnego szukania spraw, ludzi, zjawisk interesujących? Okazja jubileuszowa znakomicie się do tego nadaje.

Obok zaplanowanego konkursu wiedzy o mieście, warto byłoby na dłużej spróbować formy samodzielnego poszukiwania przez młodzież swych korzeni. Rodzinnych, lokalnych, narodowych. Można rozpuścić po mieście i okolicy zastępy harcerzy, bądź prowadzić lekcje historii w terenie, wśród żywych, pamiętających ludzi.

Może młodzi trafią na dom, który mnie poszczęściło się odkryć? Mały dom, z kolumnkami wspierającymi ganek wejściowy. Dom odcieniony zielenią i kwiatami. I jego gospodynie. Kruchoćką kobietę, o nieprawdopodobnie młodych, śmiejących się oczach.

Czy wiecie jak pachnie prawdziwy, taki domowy dom? Ma swój niepowtarzalny klimat bezpiecznego i kochanego gniazda. Pani Grabińska, rocznik 1913 zaprasza do środka, a ja z upodobaniem przyglądam się Jej niespożytej radości życia.

A przecież ma za sobą dzieje tragiczne, jak los Polski.

W Powstaniu Warszawskim była łączniczką. W początkach września 1944 wywieziona do obozu koncentracyjnego, przeszła piekło czterech łagrów, morderczej pracy w dortmundzkiej fabryce Kruppa, śmierć najbliższych, walczących i pomordowanych. I ciągle kocha żyć. I nie ma czasu się starzeć. Dokumenty, fotografie, książki, towarzyszą opowieści o losie tragicznym, a tiki częstym w Polsce. Jest i cień gorczy wspomnienia, bicia p... za nawiasem. Szkoda, by pamięć ukryta w tym domu umknęła młodym. Wielka szkoda by była, gdyby miała odejść w mrok cząstka losów Wielunia. Z pewnością znalazłby się i inne takie domy i ludzie, którzy chcą, wiedzą że powinni, przekazać następcom pamięć, wiedzę i przestrozę.

Historia wtedy tylko przestanie być w szkole nudną piłą, jeśli młodzi tuż obok siebie odkryją jej nurt, jeśli sami się nad nią pochylą.

I więcej jest warte, niż omszałe kurzem foliary dzieł historycznych, pochowane po bibliotekach i archiwach. Czyż nie byłby plonem stokrotnie cenniejszym, niż druki odświeżone, plon żywej pamięci?

Mogę tylko życzyć organizatorom, by przygotowane publikacje okolicznościowe, sesja naukowa i szereg innych działań dla „ducha”, owocowały jeszcze długo po zakończeniu uroczystości. Dodac też trzeba, że za swe dzieje i pracę będzie Wielun nagrodzony Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. Będzie wydrukowana koperta z okolicznościowym nadrukiem i plakat z herbem miasta przygotowany w krakowskiej ASP.

Tygodnik „Nad Wartą” wypuści specjalną jednodniówkę w nakładzie 10 tys. egzemplarzy. Przynane też będą dwa tytuły honorowych obywateli Wielunia dla pracowników Uniwersytetu Łódzkiego, Ryszarda Kosina i Wojciecha Szczygielskiego.

Nadto, sumptem łódzkiego oddziału KAW, wyjdzie w 500 egzemplarzach przywilej Władysława Jagiełły nadany dla miasta Wielunia.

Magistrat wysykiwał też dla swych obywateli niespodziankę telewizyjną w dniu 11 września.

NIEDYSKRECIE

Przewodniczący Obywatelskiego Komitetu Obchodów, Ryszard Lewik, za główne cele uznaje popularyzację historii miasta wśród społeczeństwa, pobudzenie aktywności obywatelskiej i dumy z własnego miejsca na ziemi. I bardzo dobrze, że ma Wielun ludzi z żyłką do działania. Żeby jednak obrazek nie był taki cukiwie stódk, pozwalam sobie zauważyć, że powód dumy miejscowego kota łowieckiego bynajmniej dumny nie jest. A jest jak u poety... rozdziobią nas kruki, wrony... więc żeby nie rozdziobaly, koło łowców grubego zwierzca przeproszłyo niniejsze z parku miejskiego. I z czego tu się cieszyć? Zał mi ludzi, którym przeszkadza harmider ptasich sejmików oraz szkody estetyczne wywołane plasm g... A brud, jaki potrafi po sobie zostawić w tymże parku homo, podobno sapiens, to nie przeszkadza?

Stara zasada mówi, że kto o prasę dba, ten prasę ma.

I fakt. Zadbano ze staropolską gościnnością. Do dziś żaluję, że w ogóle cokolwiek jadłam w dniach poprzedzających konferencję prasową z władzami miasta i głównymi animatorami uroczystości. To, co w ilości masowej walowało się na gościnny stole wywołuje najpiękniejsze sny o potęgę. Mięska i rybki, kawka i herbatka, no cacy. Byłabym niewdzięcznym prosiakiem, w? IDasobzbydmybg gdybym źle wspominała tę miłą chwilę. Jednak sumienie mnie ugryzło, gdyśmy — w atmosferze wzajemnego zrozumienia — opuszczali gościnne progi. Tuż obok, piętro niżej, tkwiły w długim ogniu Matki Polki w oczekiwaniu na dostawę do sklepu. Może więc nie ufać znowu dawidzie, że przez żołądek do serca i nie kluc tak po oczach zbytkiem żywnościowym.

Na koniec — zupełny już drobniąg. Siedmiopiętrowy tort na siedemsetlecie. Prezent władz miasta dla młodzieży. Tort rzecz pyszna, dzieci lubią — o ile nie dojdzie do bitwy przy dzielnicy, tylko może on woleliby dostać tenisówki?

No, dajmy pokój tym szpileczkom. Co to zresztą znaczy? Wszak prawdziwa cnota krytyk się nie boi i oby ludzie w Wieluniu nie mieli większych kłopotów.

Pozostaje życzyć władzom magistratu, wszystkim, którzy nie chcą patrzeć tylko pod nogi, obywatelom prastarego grodu, następnych, lepszych siedmuset lat. Potem już samo pójdzie gładko jak no masło.

JOLANTA WRORSKA

Wobec w poszczególnych zakładach, nie znam jednak przypadku, aby związek ograniczał się jedynie do tej pierwszej. Podjęcie prac takich, jakimi zawsze powinny zajmować się związki zawodowe, następowo już z chwilą powstania grup inicjatywnych i komitetów założycielskich. Trudno wreszcie wyobrazić sobie pozyskanie ludzi do organizacji, która zajmuje się jedynie własnymi, wewnętrznymi sprawami. Działalność merytoryczna była od początku konieczna.

zakładów przemysłu lekkiego, świadczą, że dochodzi nieraz do konfliktów i prób zepchnięcia związków zawodowych do roli organizacji istniejącej jedynie formalnie. W Łodzi sytuacja układa się raczej pomyślnie. Z reguły kierownictwo docenia rolę związków, w najgorszym razie nie przeszkadza, a często stara się pomóc wciągając działaczy związkowych do uczestnictwa we wszystkich, nie tylko dotyczących sfery socjalnej, przejawach życia zakładu.

— Jakiego rodzaju pomocy oczekują działacze związkowi od zespołu doradczego?

— Można wyróżnić tu trzy etapy. W pierwszym, po opublikowaniu ustawy, ludzie zwracali się do nas przede wszystkim z problemami natu-

było zresztą takiego przypadku, żeby członkowie samorządu chcieli decydować w sprawach należących do związku. Podobnie, po partnersku, współpracujemy z partią. Nie zdarza się, aby sekretarz nie przyszedł przychodził i próbował kontrolować, co robimy i jak. U dyrektora bywamy często. Wiele jest przecież indywidualnych spraw ludzkich, które trzeba wyjaśnić lub załatwić w kierownictwie zakładu. Jeśli mi nie przyjdzie przez kilka dni, dyrektor sam zainteresuje się, co u nas słychać, w czym trzeba pomóc. Nasi szefowie nie mają zwyczajną rządzą z biurka, starają się być blisko ludzi.

Na nasze zebrania zapraszają przedstawicieli rady pracowniczej, dyrekcji, partii —

3. CHCEMY POMAGAĆ POTRZEBUJĄCYM POMOCY

Kiedy trafiam do „Feniksa”, przewodnicząca związku, JANINA BIERNACIK i członek zarządu — DANUTA KRĘŻEL tonęły w papierach. To wszystko spuścizna po byłych związkach, działających w zakładzie. Obecnie trwa porządkowanie, co nie przeszkadza w wypełnianiu innych obowiązków. Obecnie są to przede wszystkim sprawy socjalnej sanatoria, wczasów i kolonij, zapomogi oraz jedna z najważniejszych a zarazem najtrudniejszych — mieszkania.

Wypisy z historii

Zwykły dzień „Łodzi-Miasta”

Nie będę zapewne odkrywczy, jeśli powiem, że zawsze trąpię mnie tendencja naszej społeczności do upiększania tego, co było, wspomnienia jak to dobrze (komu?) się działo...

Resztki rozsądku, nie zdominowane przez emocje — nakazują jednak umiar. I wówczas najlepszym pryzmikiem jest przypomnienie faktów. Takich z życia codziennego, niczym nie upiększonych. Kto to powiedział, że historia jest nauczycielką życia?

A prawda bywa brutalna, porównania zaś, nawet z poprawką na oczywistą konieczność postępu (abyśmy nie byli zawsze w epoce kamienia łupanego!) — zadziwiająco!

Cofnijmy się zatem na przykład do roku 1925. Dla przypomnienia: władzę wykonawczą sprawował wówczas Zarząd Miasta Łodzi (Inaczej — Magistrat), władzę zwierzchnią, nie wnikając w szczegóły prawne — Rada Miejska.

Radny Romanowski pyta, jakie kroki poczynił Magistrat w celu zlikwidowania bezrobocia na tramwajach. Radny Słoniewski zapytuje, „czy prawdą jest, że Magistrat wypuścił samochody na miasto na niekorzyść pracowników tramwajowych?”

Lawnik Bednarczyk odpowiada: „prawdą jest, że Magistrat wypuścił dwa samochody na miasto celem przewożenia młodzieży szkolnej i robotników... aby ułatwić komunikację i robotnikom udostępnić łatwiejszą komunikację aby tym, którzy mają swoje wózeki kursujące po mieście popuścić ceny... Magistrat wypuścił samochody po 20 groszy, aby można było pokryć własne koszty, nie licząc na zysk”.

Radna Napiórkowska zapytuje, dlaczego mimo solennej obietnicy Magistratu pobory nauczycielstwa nie są do dziś wypłacone? Wiceprezydent Groszkowski zapewnia, że w ciągu tygodnia załagodzić będą wyrównane, a „w międzyczasie bardzo wielkie sumy zostały wypłacone”.

Dla miejskiego „Szpitala Zapasowego” przewiduje się do końca roku: 763 zł na pensję lekarza, 957 zł na pensje „oficjalistów”, 5.000 zł na żywność dla chorych i personelu (50 łożek x 10 dni x 1 zł), 780 zł na środki lekarskie.

Zgodnie z art. 53 dekretu o Samorządzie Miejskim — Prezydent Miasta zwraca się do Rady z prośbą o udzielenie mu 7-dniowego urlopu wypoczynkowego w pierwszej połowie stycznia.

Uchwalono: „Rada Miejska przychyliła się do wniosku Prezydium z dnia 12.12.1924 r. postanawia... ufundować sumptem Miasta płytę do uczczenia pamięci Nieznanego Żołnierza, płytę ułożyć na chodniku u wylotu ulicy Piotrkowskiej na terytorium okalającym Katedrę, wnieść na cel powyższy do budżetu Zarządu Miejskiego na rok administracyjny 1925 — 3.500 zł”.

Uchwala, wśród oklasków całej Rady, powzięć jednomyślnie.

Rada Miejska postanawia pobierać za leczenie i utrzymanie chorych w sanatorium dla lekkogruźliczych w Chojnach po 5 zł od osoby dziennie.

A teraz sprawy kultury. Podwyższa się z dniem 1.11.1924 r. subwencję dla Teatru Popularnego do 1.000 zł miesięcznie, dla Teatru Miejskiego — ze złotych 3.000 do 3.545.

Muzeum Miejskie zwiedziło od 1.07. do 1.10.1924 r. 556 osób. Muzeum otrzymało szereg darów, a to: Mapę Polską wydaną w dwóchsetną rocznicę odsieczy Wiednia, dwa Złote Polskie, bony niemieckie wojenne wartości 1 bilion, 200 milionów i 5 milionów marek...

Miejski kinematograf oświatowy w tym samym okresie zwiedziło ogółem 104.566 osób. Treść wyświetlanych filmów „wpada się” na: naukowe (7), humorystyczne (3), inscenizacje powieści (7), rozrywkowe (6). A oto przykładowo tytuły: „Z ptakami do Afryki”, „Robinson Crusoe”, „Tajemnica puszczy”, „Carewicz”, „Wielki myśliwy”, „Ginacé Świąty”, „Helena i upadek Troi”.

W Teatrze Letnim w Parku Staszica 9.09.1924 r. nastąpiło otwarcie sezonu 1924/25 komedia A. Fredry „Słuby Panienskie”. Nadto wystawiono premiery: „Peg, serce moje” (komedia), „Dwa meżowie Pani Marty”.

W Teatrze Miejskim — „Kłopoty geniusza”, „Romantyczna noc”, „Galganek”. Spektakle te obejrzało 14.128 osób. Teatr Popularny natomiast rozpoczął sezon 4 września przedstawieniem „Dam i Huzarów”. Poza tym — „Chata za wsią” i „Wiek i Wacek”.

Miejska Galeria Sztuki urządziła wystawę zdobnictwa polskiego, nadto uruchomiono za specjalnym zezwoleniem Generalnej Dyrekcji Poczty i Telegrafu dostępną dla publiczności stację odbiorczą radiotelefoniczną w lokalu teatru. Koncerty radiotelefoniczne odbywają się w godzinach wieczornych od 8 do 12, opłata wynosi dla dorosłych 2 zł, dla młodzieży — 1 zł. Od 27.09. wysłuchało koncertów przez radio 358 osób!

Z innych wydarzeń — czyli „Kronika Miejska”. Prezes Komitetu Kasy im. Mianowskiego — prof. K. Lutostański dziękuje Magistratowi za subwencję w wysokości 5 tys. zł, mówiąc m. in.: „Tem cenniejsza jest dla nas pomoc Łodzi, że miasto mające do zaspokojenia wiele potrzeb lokalnych, związanych z kryzysem w przemyśle, znajduje jednak możliwość przysięcia z pomocą nauce...”

Dalej — informacje o wolnych miejscach w gimnazjum miejskim, o świętach w szpitalach miejskich, wieczernych wigilijnych w Miejskich Domach Wychowawczych...

No i — licytacje przymusowe. Za nie zapłacone podatki. Wydział Podatkowy Magistratu ogłasza, że 7.01.1925 r. odbędą się licytacje: Moszkowicz — 2 krzesła, Borsztajn — kredens, otomana i lustro, Filipiak — rama do wieszania naczyń kuchennych(?), Związek Zawodowy Przemysłu Gastronomicznego — 40 butelek wina, Faber — zegar, Wisniewscy — kanapa, Sliwka — pudełko papierowe(?), Hanower — stolik, Torowski — serweta... na rok administracyjny 1925 — kwotę 3.500 zł”.

Jest tego jeszcze kilkadziesiąt pozycji.

Wszystko to można wyczytać w Dzienniku Zarządu Miasta Łodzi nr 1/277 z 5.09.1925 r., cena 0,25 zł. Redaktor — Bolesław Dudziński, Wydawnictwo Zarządu m. Łodzi, odbito w Działalności Holcman w Łodzi, ul. Zawadzka 7 (teraz — Próchnika).

Potrzebne i tam, gdzie ich nie ma

— Jakimi sprawami najczęściej zajmują się obecnie związki zawodowe?

— Zdecydowaną większość czasu pochłaniają sprawy interwencyjne, z którymi zgłaszają się poszczególni pracownicy. Jest to niewiedza, mroźca działalność, która dopiero po pewnym czasie, jako suma jednostkowych, dobrze zalażonych spraw, może przynieść widoczne efekty.

Związki zajmują się również problemami o charakterze bardziej ogólnym. Do najważniejszych należy tu zaliczyć płace. Obecnie, we wszystkich zakładach przeprowadzona była konsultacja zaproponowanych przez rząd nowych zasad prowadzenia polityki płac w przedsiębiorstwach. Jak w krótkim czasie zaspokoić żądania płacowe, aby zahamować bardzo duży w przemyśle lekkim odpływ robotników — nad tym pytaniem zastanawiają się wszystkie duże i małe organizacje związkowe.

Następna istotna sprawa, to warunki pracy. Nowa ustawa o inspekcji pracy oceniona została pozytywnie. Związkowcy aktywnie włączają się do wyborów społecznych inspektorów pracy (w niektórych zakładach wybrano ich już dawno, w oparciu o starą ustawę, uczestniczą w przeglądach, poszukują doradcy i do ewentualnych rozwiązań. Angażują się również w całość zagadnień związanych z polityką socjalną zakładu. Ich propozycje w tej dziedzinie są często dobrze przyjmowane zarówno przez pracowników, jak i kierownictwo. W II kwartale wszystkie związki aktywnie uczestniczyły w przygotowaniu do lata, pomagając ustalić zasady odpłatności i podzielić skierowania.

— W wielu zakładach podobnymi sprawami zajmowały się w ostatnim okresie komisje socjalne i samorządy. Jak obecnie układa się współpraca między nimi a związkami zawodowymi?

— Nierzadko zdarza się, że samorządy nie chcą rezygnować ze spraw, którymi dotąd zajmowały się wobec braku związków. Być może, członkowie samorządów obawiają się, że taka rezygnacja wpłynie na obniżenie ich autorytetu. Wkraczają w typowe dla związków problemy socjalne, a nawet próbują decydować w indywidualnych sprawach interwencyjnych pracowników. Sytuacja takiej sprzyja luki i mało precyzyjne sformułowania w obu ustawach — o związkach zawodowych i o samorządzie. W niektórych zakładach dotychczas działają komisje socjalne, które powinny być rozwiązane do końca marca 1983 r. Związkowcy zwracają się o pomoc do naszego zespołu doradczego. Są to jednak sprawy, w których trzeba się po prostu dogadać na miejscu w zakładzie.

W ostatnim czasie sytuacja nieco się poprawiła, w obu organizacjach wzrasta bowiem świadomość roli, jaką powinny spełniać. Przy czym do porozumienia i właściwego ułożenia współpracy łatwiej dochodzi w tych zakładach, gdzie organizacja związkowa jest liczniejsza, a więc dysponuje większą siłą przebicia, a jednocześnie dość silny i sprawny działający samorząd nie upatruje w każdej podjętej przez kogoś innego decyzji próby ograniczenia własnych uprawnień.

— Jak układa się współpraca z administracją i kierownictwem przedsiębiorstwa?

— Sytuacja w kraju, także z

ry prawnej: w jaki sposób stworzyć grupę inicjatywną, jakie formalności muszą być spełnione przy rejestracji związku, itp.

— Etap drugi to przede wszystkim pytania o własne miejsce w zakładzie: jak ustawić się wobec dyrekcji, samorządu, partii, aby współpracując z nimi jednocześnie zachować pełną niezależność.

Wreszcie etap trzeci, to sprawy wynikające z braku doświadczenia działaczy. Wielu z nich to ludzie młodzi, którzy należeli poprzednio do związków branżowych lub „Solidarności”, na ogół jednak nie byli aktywistami tych organizacji. Teraz, gdy sami muszą podejmować decyzje, potrzebują niekiedy wsparcia, lub choćby tylko potwierdzenia, że ich decyzje są właściwe.

— Jakie jest najważniejsze zadanie związków, które powinny realizować już obecnie, aby w przyszłości, także bardziej odległej, były organizacją najbardziej potrzebną wszystkim ludziom pracy.

— Na działaczach nowych związków spoczywa w tej chwili niemal historyczna odpowiedzialność: doświadczenia wszystkich, jaka powinna być rola związku zawodowego, czego mogą i powinni oczekiwać od niego robotnicy. Pokutuje u nas przekonanie, że związek zawodowy to przede wszystkim zapomoga, bezpłatny bilet na imprezę, skierowanie na wczasy. Brak natomiast zrozumienia, że od właściwej pracy związku zależy pozycja całej załogi, płace, warunki pracy, a zasłiki to dopiero ostatnia z ważnych spraw. Zmiana tej opinii to właśnie najważniejsze obecnie zadanie, które musi być zrealizowane teraz, aby w przyszłości związek był tym, czym być powinien.

2. STARAMY SIĘ BYĆ BLISKO LUDZI

Załoga „DYWILANU” liczy około 2.000 osób, z czego już 1.100 osób to członkowie związku zawodowego.

Pierwsi zaczęli wpisywać się robotnicy — mówi przewodniczący, Józef Rybikowski. — Do tej pory stanowią oni najliczniejszą grupę związkowców. Są także pracownicy administracji, członkowie kierownictwa wydziałów i zakładów, również 120 rencistów. Od chwili zarejestrowania, 28 grudnia 1982 roku, nasze szeregi powiększały się szybko, a i teraz nie ma prawie dnia, aby chociaż jedna osoba nie przyszła po deklarację. Być może, że przyczynił się do tego fakt, że od początku, gdy tylko powstała grupa inicjatywna, przyjęliśmy zasadę, że nikogo nie pytamy, gdzie do tej pory należał, nie orzypominamy co sam zrobił źle lub co zawalilo jego organizacja. Po prostu, zaczęliśmy od nowa i wspólnie.

Drugim powodem, który przyciągał ludzi do związku i podnosił jego autorytet, była od początku dobra współpraca z dyrekcją i pozostałymi organizacjami. Uroczyście rozważaliśmy komisję socjalną. Podziękowaliśmy jej członkom, bo pracowali dobrze, ale teraz są to już nasze, związkowe sprawy. Niekiedy z nich, na przykład przynajmniej do nowego regulaminu wypłat nagród i premii, omawiamy wspólnie z radą pracowniczą. Ale właśnie — omawiamy, a nie słuchamy jak poleca nam postąpić. Nie

z kolei my także jesteśmy zapraszani przez nich. Tym sposobem w związku wiemy o wszystkim, co dzieje się w zakładzie i łatwiej nam działać w tym zakresie, jaki do nas należy. Bardziej nas także widać, co ułatwia podjęcie decyzji tym ludziom, którzy dotychczas rozważali sprawę swojej przynależności.

Jednym z najistotniejszych problemów, jakimi zajmują się związki zawodowe w „Dywilanu”, są mieszkania dla załogi. Komisja mieszkaniowa — jedna z pięciu utworzonych w ramach zarządu, ma już pewne osiągnięcia. U Naczelnika Dzielnicy Łódź-Górna udało się załatwić trzy mieszkania. Dostał je ludzie, którzy dotychczas mieszkali w najgorszych warunkach, co sprawdono komisyjnie. Z czwartym mieszkaniem — rotacyjnym — adaptowanym z niemieszkalnego lokalu, było trochę kłopotów. Po sprawdzeniu warunków, w jakich żyją ubiegające się o nie osoby, wytypowano cztery rodziny. Konieczne było losowanie. Mieszkanie otrzymała żona byłego przewodniczącego „Solidarności”, obecnie członkini związku. Wkrótce przedstawicielem komisji mieszkaniowej wybierają się do naczelników pozostałych dzielnic.

Sporo pracy miało w ostatnim czasie komisja socjalna, która wspólnie z działem socjalnym i przedstawicielami wydziałów dzieliła wczas i kolonie. Załatwiano również sporo interwencji w sprawie i mieszczenia dzieci w żłobkach i przedszkolach. W planie na najbliższy okres pomoc działał socjalnemu w zaopatrzeniu pracowników w warzywa i owoce na zimę oraz organizacja wycieczek.

We wszystkich sprawach pomagamy tym, którzy się do nas zgłoszą, bez względu na to, czy są już członkami związku. Dla wszystkich są także wycieczki i inne imprezy — mówi dalej Józef Rybikowski. — Tylko naszym członkom pokrywamy połowę kosztów. Również tylko dla nich są zapomogi. Nasze własne, związkowe fundusze są na razie niewielkie. Konieczna jest pomoc zakładu i otrzymujemy ją. Nie było najmniejszych problemów z oddelegowaniem ludzi do pełnienia funkcji związkowych. Obecnie, etatowo pracuję ja, wiceprzewodniczący i jedna osoba do papierkowej roboty. Nie wstydźmy się brać tych pieniędzy, teraz, gdy jeszcze nie jesteśmy samowystarczalnymi. Z drugiej strony, to także zobowiązuje. Nie po to nas oddelegowano, abyśmy wrastali w fotele, więc staram się być wszędzie. Myślę, że przynosi to korzyść i nam, i zakładowi.

O planach na najbliższą przyszłość trudno mówić. Na pewno będą to w dalszym ciągu mieszkania, płace, warunki pracy, i rozmaite sprawy interwencyjne.

— Przedstawić piękny program i obiecać moglibyśmy wiele — kontynuuje Józef Rybikowski. — Nie o to jednak chodzi. Chcemy mówić tylko o tym, co rzeczywiście możemy zrobić. Obiecaniami podważa się zaufanie ludzi, którzy już są z nami, a nigdy nie pozyska tych, którzy jeszcze się waha. Pokazując konkretne przykłady tego, co już zrobiliśmy, z biegiem czasu przekonamy także i tych pozostałych. Sprzeczka temu, co chciałbym jeszcze raz podkreślić, bardzo dobra atmosfera współpracy, panująca w naszym zakładzie.

Ta dziedzina należy do Danuty Krężel, która może pochwalić się już sporymi sukcesami.

— Na listach przydziałów udało się umieścić cztery osoby, dwanaście otrzymało już mieszkania spółdzielcze, kwaterek lub zastępcze. Na naszą pomoc czeka jeszcze 40 osób — mówi Danuta Krężel. — W urzędach i instytucjach, gdzie załatwiam te sprawy, spotykam się dotąd z dobrym przyjęciem. Nie zawsze było załatwione to, co w imieniu naszych związków proszę, ale nikt nie uważał mnie za naręta. Pomocą w sprawach mieszkaniowych służymy wszystkim. Podobnie staramy się pomóc w rozwiązaniu innych problemów. W ostatnim czasie kobiety prosiły nas o pomoc w umieszczeniu dzieci w przedszkolach. Zwracają się także do nas pracownicy bufetów, którym pomagamy zapewnić lepsze zaopatrzenie.

Kolejne, także związane z zaopatrzeniem zadanie, jakie sobie postawiliśmy, to zorganizowanie kiermaszu w zakładzie. Byłby on dla wszystkich: członków związku i nie zrzeszonych, pracowników i emerytów. Kiermasz, to właściwie jedyna możliwość zdobycia przez nasze zapracowane kobiety podstawowych artykułów. Przy okazji uważamy, że takie właśnie działanie podniesie rangę naszego związku i sprawi, że nabiorą do nas zaufania także i nasi przeciwnicy.

Z nastawieniem na całą załogę skonstruowany jest program działania związków. Od tej reguły jest tylko jeden wyjątek — zasłiki i zapomogi. Są wypłacane już z własnych, związkowych pieniędzy. Fundusz organizacji zwiększył się ostatnio o 1,07 mln zł. Ciągłe są to środki niewystarczające. Zwłaszcza renciści i emeryci oczekują od związku większej pomocy materialnej.

Na razie do związków zawodowych w „Feniksie” wstąpiło około 400 pracowników oraz 100 rencistów. Nie jest to zbyt wiele, jak na 2.700-osobową załogę.

— Ciągłe istnieją wśród załogi głębokie podziały i wewnętrzne opory — mówi Janina Biernacik. — Nie ma jawnych starć czy innych wydarzeń, które mogłyby zdezorganizować życie w zakładzie, ale o sprawach konfliktowych ciągle mówi się szeptem. Trzeba wiele czasu, aby to wszystko się uspokoiło, wtedy i do nas trafi więcej ludzi. Na razie staramy się informować, co już zrobiliśmy, uczestniczyć w każdej sprawie. Tylko w ten sposób uda się stworzyć autorytet związku. Konieczna jest przy tym dobra współpraca z kierownictwem zakładu i innymi organizacjami. Także i ich członkowie muszą pomóc nam załatwić różne sprawy i pokazać załogę, że liczą się z naszym zdaniem. Na razie przedstawiciel zarządu związku jest zapraszany na cotygodniowe narady w dyrekcji, wspólnie z organizacją partyjną odwiedzamy wydziały i rozmawiamy z ludźmi o nurtujących ich sprawach. Postaramy się również właściwie ułożyć współpracę z samorządem, który organizuje się obecnie. Oceniamy, że proces tworzenia się związków w naszym zakładzie nie przebiega najgorzej, ale mogłoby być znacznie lepiej.

Notowała: TERESA JERZYKOWSKA

WITOLD AFELT

Pamięć o wyprawie wiedeńskiej zajmowała i nadal zajmuje w świadomości Polaków szczególnie wysokie miejsce, a postać Jana III z czasem urosła do symbolu rycerskich cnót narodowych. W nim widzi się pogromcę, który na zawsze oddalił od Europy niebezpieczeństwo tureckie. Prawda, pamięta się też, że Austria nie była wdzięczna za okazaną pomoc i wzięła udział w rozbiorach Polski. Wyprawę pod Wiedeń traktuje się bowiem jako okazanie bezinteresownej pomocy zagrożonemu cesarstwu. Tak jednak nie było.

Rzeczpospolita była zainteresowana trwałym oddaleniem niebezpieczeństwa, a także korzyściami płynącymi ze zwycięstwa, kto wie czy nie bardziej, niż inne państwa biorące udział w kampanii. Dodać można, że państwa nie angażujące się bezpośrednio w działania wojenne też nie patrzyły obojętnie na rozwój wydarzeń.

Nie zawsze zdajemy sobie sprawę, iż polityka państw XVII-wiecznej Europy była daleko bardziej zawiła niż dziś, że układy i przymierza miały inny charakter — doraźny. Nie znano i nie praktykowano trwałych sojuszy, jak to ma miejsce obecnie. Silniejszy partner nie wahał się opuścić sprzymierzeńca w dogodnym dla siebie momencie i to było normalne, zawieszonym zostawało jedynie rozgrzeszenie. Polski monarcha doznał już tego uczucia ze strony Francji. Alians z Ludwikiem XIV w rachubach króla miał przynieść co najmniej wyjście z politycznej izolacji i wzmocnienie gospodarcze państw przez zajęcie Śląska i Pomorza, lecz plany mimo podjętego współdziałania spełniły na niczym — dziś już o tym raczej się nie pamięta.

W XVII- -WIECZNEJ EUROPIE

można było prowadzić
aktywną politykę dys-
ponując silną stałą ar-
mią i skarbem, bądź
znaleźć się w sferze
wpływu silniejszego

państwa i liczyć na mglisto rysujące się ko-
rzyści.

W tym czasie jedynie Francja Ludwika XIV zdolna była kształtować układ sił z korzyścią dla siebie. Do takiego znaczenia od dawna pretendowała też Austria. Polski monarcha miał skromniejsze ambicje, ale ogromne wyniszczenie państwa na skutek ciągłych wojen, nieprzychylny rozwój wydarzeń i brak zrozumienia u swoich, nie pozwoliły mu podnieść rangi Polski do państwa liczącego się na politycznej arenie Europy. Trzeba pamiętać też, iż cesarstwo od dawna rywalizujące z potężną Francją, zabiegało o wciągnięcie Rzeczypospolitej do swej sfery wpływów.

Austria miała wiele szans ku temu, by zająć czołowe miejsce w Europie. Na tej drodze zwycięstwo pod Wiedniem miało niebagatelne znaczenie — ale do wielkości był to dopiero pierwszy krok.

W 1683 roku sojuszników złączyło niebezpieczeństwo, lecz sprzeczne interesy w sprawie Węgier, wcześniej ujawnione, musiały ich poróżnić.

TURCJA

Wielkie nadzieje z
korzystnymi wynikami
działań wojennych wią-
zały Turcja i Węgry,
kto wie czy nie najważ-
niejsze dramatis perso-
nae wydarzeń 1683 roku, dla których los okazał się być fatalny.

Zdawać by się mogło, iż Turcja i Węgry wystąpiły we wspólnym interesie, bowiem oficjalnie Porta udzielała pomocy powstańcom pragnącym uniezależnienia od Austrii, a uznającym zwierzchnictwo sultana. Ale to dalekie było od prawdy. W każdym razie dla wszystkich nacji europejskich biorących i nie biorących udziału w zmaganiach było jasne, że Turcja zagrała bardziej niż kiedykolwiek już nawet nie najbliższym sąsiadom.

Dziś także budzi zrozumiałe zainteresowanie niebawny wzrost aktywności imperium otomańskiego, jego dalekie podboje, wydarzenia, które przywoływały armię padyszacha aż pod mury Wiednia. Dlaczego Turcja była tak agresywna? Co pchało ją do ciągłych wojen? Czy zdajemy sobie sprawę, że zwycięstwo pod Wiedniem to wspaniały sukces sprzymierzonych, ale też początek jeszcze wieloletnich zmagania z Turcją? Te kwestie wymagają szerszego omówienia polityki państwa otomańskiego.

W połowie XVII wieku imperium osmańskie obejmowało ogromne terytorium: Balkany, prócz Czarnogóra i Dalmacji, Europę Południowo-Wschodnią, Krym, ziemie nad Morzem Azowskim i Czarnym, Afrykę Północną, Azję Mniejszą, Arabię, Syrię, Palestynę, Irak, zachodnią i południową Armenię oraz część Gruzji. Państwo stanowiło konglomerat wielu krajów, ludów i plemion. Turcy dzierżący władzę w tym olbrzymim mocarstwie nie stanowili nawet większości mieszkańców. Imperium było w dalszym ciągu związkim wojskowo-administracyjnym prowincji o swolstwych odrębnościach, wynikających z zastanego rozwoju ekonomicznego i kulturalnego, różnorodnych podatków i świadczeń.

Władza zwierzchnia należała do sultana, czyli padyszacha, który uznany był za „cień Boga na ziemi”, wedle prawa miał moc rozporządzania mieniem i życiem poddanych.

Część ziem państwowych stanowiła osobistą własność sultana i jego rodziny, część oddawano najwyższym dostojnikom na czas sprawowania przez nich funkcji. W niektórych pro-



Tureckie imperium

JAN GŁOWACKI

wincjach ziemie oddawano w dożywotnią własność większym i mniejszym feudałom, którzy w zamian obowiązani byli pełnić służbę wojсковą, a w razie wojny stawiać się z uzbrojonymi chłopami.

Ziemie stanowiące własność prywatną należały przeważnie do wielkich feudałów, którzy oddawali je w użytkowanie chłopom. W XVII wieku ilość tych ziem ciągle rosła w związku z praktykowaną konfiskatą dóbr lenników i sprzedażą majątków osobom prywatnym. Niezależnie wyodrębnione były ziemie należące do instytucji religijnych z osiedlonymi na nich chłopami.

Pod względem administracyjnym imperium osmańskie dzieliło się na obwody (ejalety) i ziemie wasalne. Namiestnicy prowincji i obwodów (emirowie i paszowie) jednoczyli w swych rękach władzę cywilną i wojskową, mieli swój dwór i wojsko, wprowadzali lokalne podatki, ściągali cła. Nie mając umiaru w ograbianiu ludności ani dbając o rozwój podległych im prowincji, władzę swą utrzymywali przy pomocy wojska.

Armia odgrywała nie tylko w życiu gospodarczym państwa wielką rolę, zdobywała nowe tereny, umożliwiając ich eksploatację i tłumiając ciągłe ruchy ludowe wewnątrz kraju. Feudałowie i cała warstwa rządząca byli bez reszty przekonani, iż potęga i siła państwa leży w wojsku. W tym celu armii i państwu miał służyć dawno już wprowadzony system lenny i do schyłku XVI stulecia należały spełniać swoje zadanie.

Według praw tureckich cała ziemia zdobyta należała do zwycięzcy, uprawiali ją nadal miejscowi chłopci, lecz rozdzielano ją Turkom z rodów rycerskich zdolnym do pełnienia służby wojskowej. W zamian za nadanie stawiano się na wyprawę konno w pełnym uzbrojeniu z poddanyami, których liczba zależała od wielkości lenna. Lenne wielkie (hass) oddawano dygnitarzom, mniejsze (timar) zwykłym wojownikom. Syn właściciela lenna nie dziedziczył posiadłości ojcowiskich, ale sam otrzymywał małe nadanie, które w zależności od jego zasług wojennych, mogło być powiększane. Tu przypomnijmy, że timarioci tworzyli doskonałą jazdę nazywaną spahisami.

System lenny znakomicie podsycał zaborczość klasy panującej. Turek wyruszający na wojnę wiedział, że w razie zwycięstwa dostanie bogate nadania w podbitym kraju, a w wypadku chwałobnej śmierci w walce z niewiernymi czeka go wieczna szczęśliwość w raju, którą obiecał Mahomet.

Już u schyłku XVI stulecia możliwości nowych podbojów zmniejszyły się znacznie, zaś państwa, którym Turcja zagrażała, stawały zdecydowanie odpor. Zaborcze wojny przestały przynosić nowe rozległe terytoria, nowych wasałów i nowe lenna. Permanentny stan wojenny wyniszczył imperium, coraz wyraźniej rysował się proces wewnętrznego rozkładu. Feudałowie niechętnie stawiali się na nowe wyprawy. Oblicza się, że o ile dawniej można było zgromadzić 120-150 tys. pospolitego ruszenia, to w połowie XVII wieku zaledwie 10 tys.

W tej sytuacji Turcja wchodziła w epokę dziejów nowożytnych jako olbrzymie feudalno-wojskowe imperium, którego wewnętrzna organizacja była w stanie rozkładu. Podczas, gdy państwa europejskie szybko rozwijały swą gos-

podarkę, unowocześniały armię, w Turcji niezmienne utrzymywała się gospodarka naturalna i prymitywna organizacja cechowa. To bez nowych podbojów nie wystarczało już dla utrzymania w pełni zdolności bojowych armii i wielkie mocarstwo poczęło chylić się ku upadkowi.

Stery rządzące Wysokiej Porty mylnie dostrzegały istotę ponoszonych klęsk. Trudności wojenne starano się pokonać wyłącznie przez zwiększenie liczebności wojska, w pierwszym rzędzie janczarów. Z konieczności w połowie XVII w. zaniechano przymusowej rekrutacji chłopów chrześcijańskich z „podatku ludzkiego” i janczarami byli odtąd muzułmanie. Reformy pozwoliły wprawdzie utrzymać ich liczbę, lecz wartość tej niegdyś znakomitej formacji wyraźnie zmalała, żelazna dawniej dyscyplina uległa zupełnie rozluźnieniu. Dawny tron armii tureckiej zatracił zupełnie charakter braetwa zakonnego owianego duchem fanatyzmu. Szybko zezwolono na zawieranie małżeństw, a w czasie pokoju na uprawianie intratnych rzemiosł. Janczarzy uzyskali nadto szereg przywilejów, co upoważniało ich do ciągłych ingerencji w sprawy państwowe.

W omawianym okresie zwiększył się też niepomniernie wyzysk chłopów, osiagając niespotykane rozmiary. Feudałowie prowadzili ze sobą zaciętą walkę o nowy podział lenn, zabiegając o zwiększenie swoich dochodów. Zagarniano

związaniem sił cesarskich na południu, co dawało jej możliwość działania w Europie. Zaborcze dążenia imperium starała się wykorzystać również Szwecja w czasie wojny z Rosją (1656-1658), lecz wówczas Turcja nie decydowała się jeszcze na wszczęcie działań w Europie. Na uwadze miano przede wszystkim zakończenie wojny o Kretę, a reformy wzmacniające armię dopiero zaczęto wprowadzać.

Stopniowo w imperium wracała wiara w niezwykłość państwa otomańskiego, nową nadzieją zostali natchnieni ci, co popadli w zwątpienie powodzenia „świętej wojny”. Wyplacano regularnie żołdy, wyprawy przynosiły łupy, powoli zapełniano kasy sultańskie. Pierwsze pomysły zakończenia konfliktu zbrojnego po reformach, pierwszy błyskotliwy sukces, to stosunkowo szybkie zakończenie wojny z Wenecją o Kretę, w której początkowo wyraźna przewaga rysowała się po stronie Republiki św. Marka. Latem 1666 roku Fazyl Ahmed zdobył Kandię i opanował niemal całą wyspę. Pokój zawierano już na dogodnych dla Turcji warunkach.

Porta staje się odtąd niezwykle agresywna, reaguje na każde zadrażnienie w rejonach przygranicznych działaniami wojennymi zmuszając do czujności i olbrzymiego wysiłku militarnego sąsiadujące z nią państwa europejskie.

W 1671 ROKU TURCJA

zajęta była rozstrzygnięciem sporu z Wenecją o Dalmację, ale nie przeszkodziło to jej kontynuować wcześniej rozpoczętej wojny z Austrią spowodowanej sporem o Węgry i Siedmiogrod.

Protestanci i jednocześnie niepodległościowy odłam szlachty węgierskiej od dawna buntowali się przeciw antywęgierskiej polityce Habsburgów nacechowanej nietolerancją. Tym razem powodem zadrażnienia był Siedmiogrod, gdzie krzyżowały się wpływy Porty i Wiednia. Od początku działań wojennych Mehmed pasza Köprülü odnosił sukcesy, na tronie osadził posłusznego Turcji lennika, zajęto szereg ważnych twierdz i mocno obwarowanych miast, m. in. Ujvar, Novigrad, Nitre. Pochód turecki usiłowano powstrzymać. Najpierw oddziały Mikołaja Zriniego, przywódcy opozycji antyhabsburskiej, dążącego do niezależności Węgier, później połączone 60-tysięczna armia niemiecko-austriacko-francuska pod dowództwem słynnego marszałka Montecuccolego odniosła znaczny sukces koło Szentgotthard, nad przeszło 100 tys. armią osmańską. Po kilku dniach dalszych walk, wielki wezyr zarządził odwrót. Była doskonała okazja, by sprzymierzone wojska przeszły do natarcia, na co cesarski gabinet nie wyraził zgody. W kilka dni po ostatnim starciu 10 sierpnia 1664 roku przystapiono do podpisania traktatu pokojowego w Vasvar niedaleko Wiednia. Warunki były korzystne dla Turcji; w ich ramach zostały tak ważne zdobycze jak Ujvar i Novigrad. Kilka miast, m. in. Nitre, oddali Austriakom, którzy w zamian wyrzekali się pretensji do Siedmiogrodu, mającego zostać strefą wpływów Turcji. Austria zapłaciła odszkodowania wojenne, a Porta zgodziła się nie popierać opozycji na Węgrzech.

Warunki pokoju wydają się dość zaskakujące, ale dla Wiednia były dogodne. Chodziło głównie o to, by nie dopuścić do wzmocnienia opozycji antyhabsburskiej na Węgrzech i warunki traktatu to umożliwiły. Mimo wszystko należało się spodziewać, że było to czasowe rozwiązanie konfliktu, następny mógł wyplynieć z tych samych źródeł. Wyprzedzając wydatzenia dodajmy, że prawie dwadzieścia lat później, Austria po pierwszych wielkich sukcesach, również nosiła się z zamiarem szybkiego zawarcia pokoju — do czego zresztą nie doszło. Tym razem dochodziły obawy, by Jan III nie wykorzystal popularności i sukcesów wojennych, sięgając po Węgry dla syna.

Przez dłuższy czas po zawarciu pokoju Turcja nie ingerowała w bieg wydarzeń w tym rejonie, kończyła jeszcze wojnę z Wenecją i liczyła się z możliwością wypowiedzenia wojny przez Polskę i Rosję.

Obawy Porty nie były bezpodstawne, konflikt na pograniczu trzech państw narastał już od kilku lat. W 1665 roku Turcy usunęli przyjaznego Rzeczypospolitej chana Mehmed Gireja i powołali wojowniczego Aadil Gireja. Rozczarowany podziałem Ukrainy hetman kozacki Piotr Doroszenko, począł porozumiewać się z Portą ludząc się, że przy pomocy Turcji odbuduje państwo. Sytuacja stawała się groźna tak dla Polski, jak i Rosji. Oba państwa zawarły dość nieoczekiwane pokój w Andruszowie (30 stycznia 1667), zdając się zapowiadać wspólna wystąpienie przeciw Porcie.

Rozejm rzeczywiście mógł przekształcić się w utworzenie ligi antyturckiej. Już wcześniej liczyła się Porta z możliwością utworzenia jej przez Wiedeń, Wenecję i papieża. Teraz dochodziła możliwość utworzenia przy północnej granicy imperium nowego przymierza. Wysoka Porta uznała układ za akt nieprzyjazny, ale zbrojnie natychmiast nie reagowała; ograniczyła się do silnej dywersji Tatarów latem i jesienią tegoż roku. Wielką wyprawę przeciw Polsce — jak się okazało zupełnie do wojny nie przygotowanej — prowadził osobiście sam sultan w roku 1672. Najazd zakończył się pełnym sukcesem. Rzeczpospolita spadła do roli lennika Turcji. Porta postanowiła rozprawić się z koleją z drugim niedoszłym sojusznikiem.

Wzrost wyzysku chłopów, osiagając niespotykane rozmiary, Feudałowie prowadzili ze sobą zaciętą walkę o nowy podział lenn, zabiegając o zwiększenie swoich dochodów. Zagarniano

ziemię wspólnot gminnych, wyzysk i grabież osiagaly nieludzkie rozmiary, które trudno porównać ze stosunkami europejskimi. Upadek gospodarczy przejawiał się wszędzie, malała produkcja rzemieślnicza, zaprzestawaly prace tak ważne dla funkcjonowania państwa kopalnie, nawet wytwórnie broni nie mogly się utrzymać.

Koła rządzące w Turcji były głęboko przekonane, że tylko poprzez odrodzenie dawnej potęgi i wznowienie wojen, można zapobiec rozkładowi imperium, wzmocnić nadwątloną władzę sultana i uśmierzyć powstania chłopskie. W połowie XVII wieku udało się na lat dwadzieścia kilka usprawnić maszynę państwową, znacznie wzmocnić armię. Toteż w latach 1660-1683 Turcja wystąpiła przeciw Habsburgom, Polsce, Wenecji i Rosji z potęgą jakiej nie oglądano nawet w czasach Sulejmana Wspaniałego — szerząc grozę w całej Europie.

Krótkotrwałe ożywienie niezwykle zaborczości państwa otomańskiego było zasługą wezyrów z rodu Köprülüch. Mehmed pasza Köprülü pierwszy osiagnął godność wielkiego wezyra w rodzinie — zrobił wielką karierę w swym życiu. Najpierw w seraju sultańskim zaczął jako kuchcik i stopniowo osiagnął coraz wyższe stopnie w hierarchii dworskiej i urzędniczej. Wielkim wezyrem został w wieku lat siedemdziesięciu. Od sultanki Turhan uzyskał tak szerokie kompetencje, że zdobył faktycznie władzę dyktatorską. W czasie swych kilkuletnich rządów (1665-1661), terrorem i wyrokami śmierci tłumil wszelkie buntury w państwie, wzmocnił dyscyplinę w wojsku, zbudował szereg twierdz, mając na celu wznowienie tradycyjnej polityki podbojów. Dzieło to kontynuował jego następca, syn Ahmed, nazywany Fazyl (tj. Oświecony). Powołany zgodnie z wolą ojca na to najwyższe stanowisko w hierarchii Porty młody, dwudziestokilkuletni pasza był człowiekiem starannie wykształconym, łagodniejszego charakteru, ale niebawem zupełnie znalazł reszki oporu wielmożów.

Mało energiczny sultan Mehmed IV zadowolony był z rządów Köprülüch sprawujących swój urząd jeszcze za regencji jego matki. Zwolniony bowiem został z wszelkich poważniejszych obowiązków państwowych i mógł spokojnie zajmować się ulubionym myślistwem (stad nazywano go Avci tj. Myśliwy). Po śmierci Fazyla sultan powierzył ten ważny urząd jego szwagrowi, paszy Sylistrli Czarnemu (Kara) Mustafie. Nowy wezyr co prawda z mniejszym talentem, ale z wielką wytrwałością i energią kontynuował dzieło poprzedników. Dajmy, że nie miał wielkiego doświadczenia wojennego. Dotąd brał udział w zdobyciu Kandi na Krecie, a w 1674 roku dowodził wyprawą na Ukrainę.

Wezyrowie Köprülüch nie pokonali wewnętrznego kryzysu systemu feudalnego, pozostał on nie zmieniony, ale mogli się poszczycić dużymi sukcesami militarnymi. Dzieje imperium otomańskiego drugiej połowy XVII stulecia to pasmo nieustannych wojen i tłumienia powstań. Turcja prowadziła wojnę z Wenecją o Kretę (1645-1669), z Austrią (1663-1664), z Polską (1672), z Rosją (1677-1678) i wojnę z koalicją państw europejskich (1683-1699). Nowością w tych wojnach było to, iż agresję skierowano przeciw państwom Europy Wschodniej. Dążenia ekspansjonistyczne Turcji popierały w tym czasie Anglia i Francja. Szczególnie Francja rywalizująca z Austrią zainteresowana była

Jeszcze jeden dubel...

NA PLANIE FILMU „MUSISZ ŻYĆ” JERZEGO HOFFMANA

Wysoki, choć jak na pierwszy rzut oka widać — sztuczny mur zdobi od kilku tygodni początkowy (od Piotrkowskiej) fragment ulicy Narutowicza naprzeciwko KMPiK w Łodzi. Od strony podwórka również dekoracja: ulica warszawskiego getta.

Akcja nowego filmu fabularnego pod roboczym tytułem „Musisz żyć” w reż. Jerzego Hoffmana dzieje się w Polsce, po której wędruje żydowski dziecko, wyrzucone w ostatniej chwili przez matkę z wozu, podczas transportu na rozstrzelanie. Dziewczynka spotyka się z pomocą wielu ludzi, gotowych podjąć ryzyko mimo groźby im śmierci. Filmowców zastają podczas kręcenia jednej ze scen w piwnicy domu przeznaczonych do rozbiórki. Sceneria wymarzona.

Wokół obozu filmowców łódzkiej WFF samochody, kable, sprzęt oświetleniowy, elementy dekoracji, siatka, drewniany plot, rusztowania.

Przed piwnicą, w której trwają zdjęcia, zastaje grupkę osób zatrudnionych przy produkcji filmu. Nie robią nic, siedzą, gadają, palą, jedzą, piją, czekają...na koniec zdjęć.

Fajnie pracować w filmie, tylko chyba trochę nudno?

Atmosfera typowa dla pracy polskich filmowców, którym pozornie nigdy się nie spieszy. Najważniejsza jest kreacja w danym dniu scena, dubel, efekt tego, czego oczekuje reżyser, operator. Czekam na Jerzego Hoffmana, z którym przeprowadzę rozmowę nie tylko o powstającym właśnie filmie.

I oto jest. Najważniejsza osoba na planie. Animator, Bóg. Ubrany w roboczy kombinizon, służbowy hełm, w tym stroju nie wygląda na wielkiego Hoffmana, znakomitego specjalistę od wielkich widowisk filmowych („Potop”, „Pan Wołodyjowski”).

Jest całkowicie pochłonięty robotą na planie, nie widzi nikogo i niczego.

Wchodzi z powrotem do piwnicy. Nie biegną za reżyserem, bo nie mam kombinizonu, hełmu, boję się duchoty, kurzu, w ogóle tych trudnych, naturalnych warunków.

Anna Dymna gra Rachel, żydowską dziewczynę, drugą co do wielkości i ważności rolę w tym filmie. Gra obok 13-letniej niemieckiej Żydówki z Berlina Zachodniego — Sharon Brauner, bratanicy producenta zachodniemieckiego. Dymna wychodzi z piwnicy zmęczona, szara twarz, kurz pokrywa prawie całą postać aktorki, w której trudno rozpoznać Barbarę Radziwiłłównę. Jest jeszcze w transie aktorskim, jeszcze jest Rachel z tamtych czasów.

— Zjadłabym śledzia.

— Śledzia? Może ciastko?

— Nie, tylko śledzia.

— ?

— To były trudne, wyczerpujące zdjęcia, wyczerpująca praca.

Sam pan widzi jak wygląda aktorka na planie filmowym. W robocie. Bez retuszu w gazetowym wydawczym z pięknym zdjęciem.

Dymna siada na ziemi. Ktoś z planu życzyliw ustępuje miejsca w służbowym leżaku.

Dymna głęboko oddycha. Rozmawiamy o niczym. To nasze pierwsze spotkanie. Odpiera ją ta rozmowa. Dochodzi do siebie.

— Czy te siwe włosy stanowią element charakterystyczny do roli Rachel?

— Nie, to wynik molch czterech wypadków. Należę do najbardziej pechowych osób na świecie.

Sprawdza się wprost idealnie przepowiednia pewnego wróżbiły. Przeżyłam śmierć kliniczną, padaczkę pourazową, sto różnych komplikacji i skutków wypadków. Spalił się strych adaptowany na mieszkanie w Krakowie, wkrótce potem zmarł mój mąż.

Kiedy jedzie obok Teatru Starego w Krakowie karetka pogotowia ratunkowego, koledzy ozywają się i prognozują. Uwaga! Ania Dymna jedzie do teatru.

Nikt nie odważy się wsiąść ze mną do samochodu. Kiedy lechałam z reż. Januszem Majewskim, jego żona Zofia Nasierowska umierała ze strachu.

— Kiedy miała pani ostatni wypadek?

— Niedawno, w miniony czwartek.

— Jak się pani czuje?

— Dobrze, choć wielu rzeczy nie wolno mi robić.

— Wygląda pani na bardzo zmęczoną. Kiedy urlop?

— Od jutra. Jęde do Bułgarii, za 90 tysięcy zarobionych ciężką pracą w ostatnich filmach. Potrzebny mi jest wypoczynek w luksusowych warunkach, taki, jaki organizują sobie gwiazdy.

Dymna wsiada do samochodu i jedzie do wytwórni. Spotkamy się w zupełnie innej scenerii za dwie godziny w Hotelu „Centrum” na wielkim wydawczym prasowym dla „Filmu”. Jerzy Hoffman jest już na powierzchni. Kieruje pracą przy kolejnym ujęciu sceny.

On i jego liczni asystenci przygotowują tłum statystów, który wychodzi z piwnicy i zdaje się nie mieć końca. Statysty mają za zadanie akorskie stać na drewnianym rusztowaniu, z wyciągniętymi w białym garniturze rękami widocznymi przez dziury w rusztowaniu. Grają w tej scenie tylko ręce.

Charakteryzatorzy poprawiają ostatni retusz na owych tak ważnych rękach, które muszą być szare, biedne, chore, muszą coś wyrażać.

Ustawianie statystów do tej sceny trwa długo. Tlum widzów asystujących ekiple jest już znużony i razem ze statystami zmęczony.

— Te, aj-waj, Żydzi — krzyczy pan w podkoszulce.

— Przestań Zigmund (to mój żona) — to na pewno jest prawdziwy Żyd i jeszcze się obrazi.

— Ej, ile Wam płacą za te przebieganie?

— Dorabiacie sobie do renty?

— Ależ Was poprzebiehali!

— Patrz Marycha! Ta w pierwszym rzędzie na rusztowaniu pomalowała sobie paznokcie na czerwono. A to podobno ma być getto!

— Proszę państwa bardzo proszę odsunąć się choć metr do tyłu, bo może być wypadek. Kamera z rozpedu może wyskoczyć z szyn.

— Sam pan się posuń, ja choć coś zobaczę.

— Niech się pan nie rozpycha, nie jest pan sam na planie.

— Na planie! Patrzcie ja jaka gwiazda filmowa!

Kamera pedzi jak pospieszny pociąg. Operator Jerzy Gościak robi duble, jeden, drugi, trzeci.

Ręce statystów zastępowają w białym garniturze. Nareszcie robią wrażenie.

Na ekranie będzie to wyglądało wspaniale, filmowo, aż nas, wstrząśniętych widzów ścisnie w doiku z wrażenia. Filmowcom o to chodzi.

Uwaga. Jeszcze jeden dubel i koniec zdjęć na dzisiaj. Kamera podjeżdża po raz „n-ty”.

I tak jest codziennie, od rana do wieczora. Na ulicy Narutowicza, na Piotrkowskiej i w kilku innych miejscach Łodzi.

BOHDAN GADOMSKI

Wolałbym napisać o innym filmie — sprzed jedenastu lat. O szaleństwie kina, mistrzowskiej realizacji, wrażeniach, jakich nigdy nigdzie. Nowej Sztuce XX wieku. Entuzjastycznie, w podziwie, zachwycie dla talentu Mistrza. Dziś jednak taki tekst nie jest już możliwy. „Tamten” film, choć nadal jest w moim odczuciu arcydziełem, po wielokrotnym oglądaniu, stracił blask pierwszego zafascynowania, o „tym” w ten sposób napisać nie mogę. Pamięć „tamtego” obrazu wywołuje we mnie uczucie: ROZCZAROWANIA. Zastanawiam się...

Najwięksi przeciwnicy „tamtego” filmu mówili z lekceważeniem: „Dokument! To nakręcić najprościej!” Cóż to jednak za dokument, którego żadnego ujęcia nie zrobiono poza atelier! Scena wjazdu do wielkiego miasta — współczesnej europejskiej metropolii. Wydawałoby się, że inscenizacja jest tu zbędna. Wystarczy ustawić kamerę na jednej z wjazdowych autostrad, w odpowiednich — szczytowych godzinach i materiału nie zabraknie. Tymczasem wszystko odbyło się w studiu, po to, aby na ekranie, dzięki takiemu a nie innemu ciągłowi obrazów, zestawieniu barw i dźwięków, uzyskać filmową wizję — wjazd do XX-wiecznego Hadesu (!)

I tak... z za szyb reporterskiego samochodu (taka jest perspektywa) patrzymy na ciężarówkę wiozącą zwierzę, która uległa wypadkowi. Rozrzucone po szosie ciała drgające w

przedśmiertnych konwulsjach, a rytm tych drgań dziwnie harmonizujący z ruchami policjantów, próbujących zapanować nad tym wydarzeniem. Nowoczesny rytuał śmierci? Wyrzęda nas dziwny, żółty samochód swym kolorem kontrastujący z szarymi, rozmytymi barwami nocy, zza którego okien patrzają na nas... niby normalne, przeciętne twarze, a wrażenie jest takie jakbyśmy obcowali z postaciami ze „Świata cieni”. Nie się nie stało. Jesteśmy już w Rzymie. A przecież takie

nocnej podróży nigdy nie dane było nam przeżyć.

I tak... w trakcie wędrowki trafiamy na budowę metra. Podobny reportażowy sposób przedstawiania zdarzeń. Mamy robotników, mamy potężną, nowoczesną maszynę ryjącą w ziemi (przypomina swym wyglądem, spiętanem rur i bębnow potężnego przedpotopowego gada), którego reżyser kazał stworzyć tylko i wyłącznie na potrzeby filmu! Nagle przy kolejnej próbie pogłębienia korytarza budowniczy natrafia na starożytną rzymską willę ze wspaniałymi freskami, które pod wpływem świeżego (?) po-

przedśmiertnych konwulsjach, a rytm tych drgań dziwnie harmonizujący z ruchami policjantów, próbujących zapanować nad tym wydarzeniem. Nowoczesny rytuał śmierci? Wyrzęda nas dziwny, żółty samochód swym kolorem kontrastujący z szarymi, rozmytymi barwami nocy, zza którego okien patrzają na nas... niby normalne, przeciętne twarze, a wrażenie jest takie jakbyśmy obcowali z postaciami ze „Świata cieni”. Nie się nie stało. Jesteśmy już w Rzymie. A przecież takie

nocnej podróży nigdy nie dane było nam przeżyć.

I tak... w trakcie wędrowki trafiamy na budowę metra. Podobny reportażowy sposób przedstawiania zdarzeń. Mamy robotników, mamy potężną, nowoczesną maszynę ryjącą w ziemi (przypomina swym wyglądem, spiętanem rur i bębnow potężnego przedpotopowego gada), którego reżyser kazał stworzyć tylko i wyłącznie na potrzeby filmu! Nagle przy kolejnej próbie pogłębienia korytarza budowniczy natrafia na starożytną rzymską willę ze wspaniałymi freskami, które pod wpływem świeżego (?) po-

przedśmiertnych konwulsjach, a rytm tych drgań dziwnie harmonizujący z ruchami policjantów, próbujących zapanować nad tym wydarzeniem. Nowoczesny rytuał śmierci? Wyrzęda nas dziwny, żółty samochód swym kolorem kontrastujący z szarymi, rozmytymi barwami nocy, zza którego okien patrzają na nas... niby normalne, przeciętne twarze, a wrażenie jest takie jakbyśmy obcowali z postaciami ze „Świata cieni”. Nie się nie stało. Jesteśmy już w Rzymie. A przecież takie

nocnej podróży nigdy nie dane było nam przeżyć.

I tak... w trakcie wędrowki trafiamy na budowę metra. Podobny reportażowy sposób przedstawiania zdarzeń. Mamy robotników, mamy potężną, nowoczesną maszynę ryjącą w ziemi (przypomina swym wyglądem, spiętanem rur i bębnow potężnego przedpotopowego gada), którego reżyser kazał stworzyć tylko i wyłącznie na potrzeby filmu! Nagle przy kolejnej próbie pogłębienia korytarza budowniczy natrafia na starożytną rzymską willę ze wspaniałymi freskami, które pod wpływem świeżego (?) po-

nocnej podróży nigdy nie dane było nam przeżyć.

I tak... w trakcie wędrowki trafiamy na budowę metra. Podobny reportażowy sposób przedstawiania zdarzeń. Mamy robotników, mamy potężną, nowoczesną maszynę ryjącą w ziemi (przypomina swym wyglądem, spiętanem rur i bębnow potężnego przedpotopowego gada), którego reżyser kazał stworzyć tylko i wyłącznie na potrzeby filmu! Nagle przy kolejnej próbie pogłębienia korytarza budowniczy natrafia na starożytną rzymską willę ze wspaniałymi freskami, które pod wpływem świeżego (?) po-

nocnej podróży nigdy nie dane było nam przeżyć.

I tak... w trakcie wędrowki trafiamy na budowę metra. Podobny reportażowy sposób przedstawiania zdarzeń. Mamy robotników, mamy potężną, nowoczesną maszynę ryjącą w ziemi (przypomina swym wyglądem, spiętanem rur i bębnow potężnego przedpotopowego gada), którego reżyser kazał stworzyć tylko i wyłącznie na potrzeby filmu! Nagle przy kolejnej próbie pogłębienia korytarza budowniczy natrafia na starożytną rzymską willę ze wspaniałymi freskami, które pod wpływem świeżego (?) po-

nocnej podróży nigdy nie dane było nam przeżyć.

I tak... w trakcie wędrowki trafiamy na budowę metra. Podobny reportażowy sposób przedstawiania zdarzeń. Mamy robotników, mamy potężną, nowoczesną maszynę ryjącą w ziemi (przypomina swym wyglądem, spiętanem rur i bębnow potężnego przedpotopowego gada), którego reżyser kazał stworzyć tylko i wyłącznie na potrzeby filmu! Nagle przy kolejnej próbie pogłębienia korytarza budowniczy natrafia na starożytną rzymską willę ze wspaniałymi freskami, które pod wpływem świeżego (?) po-

nocnej podróży nigdy nie dane było nam przeżyć.

I tak... w trakcie wędrowki trafiamy na budowę metra. Podobny reportażowy sposób przedstawiania zdarzeń. Mamy robotników, mamy potężną, nowoczesną maszynę ryjącą w ziemi (przypomina swym wyglądem, spiętanem rur i bębnow potężnego przedpotopowego gada), którego reżyser kazał stworzyć tylko i wyłącznie na potrzeby filmu! Nagle przy kolejnej próbie pogłębienia korytarza budowniczy natrafia na starożytną rzymską willę ze wspaniałymi freskami, które pod wpływem świeżego (?) po-

nocnej podróży nigdy nie dane było nam przeżyć.

I tak... w trakcie wędrowki trafiamy na budowę metra. Podobny reportażowy sposób przedstawiania zdarzeń. Mamy robotników, mamy potężną, nowoczesną maszynę ryjącą w ziemi (przypomina swym wyglądem, spiętanem rur i bębnow potężnego przedpotopowego gada), którego reżyser kazał stworzyć tylko i wyłącznie na potrzeby filmu! Nagle przy kolejnej próbie pogłębienia korytarza budowniczy natrafia na starożytną rzymską willę ze wspaniałymi freskami, które pod wpływem świeżego (?) po-

nocnej podróży nigdy nie dane było nam przeżyć.

I tak... w trakcie wędrowki trafiamy na budowę metra. Podobny reportażowy sposób przedstawiania zdarzeń. Mamy robotników, mamy potężną, nowoczesną maszynę ryjącą w ziemi (przypomina swym wyglądem, spiętanem rur i bębnow potężnego przedpotopowego gada), którego reżyser kazał stworzyć tylko i wyłącznie na potrzeby filmu! Nagle przy kolejnej próbie pogłębienia korytarza budowniczy natrafia na starożytną rzymską willę ze wspaniałymi freskami, które pod wpływem świeżego (?) po-

nocnej podróży nigdy nie dane było nam przeżyć.

I tak... w trakcie wędrowki trafiamy na budowę metra. Podobny reportażowy sposób przedstawiania zdarzeń. Mamy robotników, mamy potężną, nowoczesną maszynę ryjącą w ziemi (przypomina swym wyglądem, spiętanem rur i bębnow potężnego przedpotopowego gada), którego reżyser kazał stworzyć tylko i wyłącznie na potrzeby filmu! Nagle przy kolejnej próbie pogłębienia korytarza budowniczy natrafia na starożytną rzymską willę ze wspaniałymi freskami, które pod wpływem świeżego (?) po-

nocnej podróży nigdy nie dane było nam przeżyć.

I tak... w trakcie wędrowki trafiamy na budowę metra. Podobny reportażowy sposób przedstawiania zdarzeń. Mamy robotników, mamy potężną, nowoczesną maszynę ryjącą w ziemi (przypomina swym wyglądem, spiętanem rur i bębnow potężnego przedpotopowego gada), którego reżyser kazał stworzyć tylko i wyłącznie na potrzeby filmu! Nagle przy kolejnej próbie pogłębienia korytarza budowniczy natrafia na starożytną rzymską willę ze wspaniałymi freskami, które pod wpływem świeżego (?) po-

nocnej podróży nigdy nie dane było nam przeżyć.

I tak... w trakcie wędrowki trafiamy na budowę metra. Podobny reportażowy sposób przedstawiania zdarzeń. Mamy robotników, mamy potężną, nowoczesną maszynę ryjącą w ziemi (przypomina swym wyglądem, spiętanem rur i bębnow potężnego przedpotopowego gada), którego reżyser kazał stworzyć tylko i wyłącznie na potrzeby filmu! Nagle przy kolejnej próbie pogłębienia korytarza budowniczy natrafia na starożytną rzymską willę ze wspaniałymi freskami, które pod wpływem świeżego (?) po-

nocnej podróży nigdy nie dane było nam przeżyć.

I tak... w trakcie wędrowki trafiamy na budowę metra. Podobny reportażowy sposób przedstawiania zdarzeń. Mamy robotników, mamy potężną, nowoczesną maszynę ryjącą w ziemi (przypomina swym wyglądem, spiętanem rur i bębnow potężnego przedpotopowego gada), którego reżyser kazał stworzyć tylko i wyłącznie na potrzeby filmu! Nagle przy kolejnej próbie pogłębienia korytarza budowniczy natrafia na starożytną rzymską willę ze wspaniałymi freskami, które pod wpływem świeżego (?) po-

nocnej podróży nigdy nie dane było nam przeżyć.

I tak... w trakcie wędrowki trafiamy na budowę metra. Podobny reportażowy sposób przedstawiania zdarzeń. Mamy robotników, mamy potężną, nowoczesną maszynę ryjącą w ziemi (przypomina swym wyglądem, spiętanem rur i bębnow potężnego przedpotopowego gada), którego reżyser kazał stworzyć tylko i wyłącznie na potrzeby filmu! Nagle przy kolejnej próbie pogłębienia korytarza budowniczy natrafia na starożytną rzymską willę ze wspaniałymi freskami, które pod wpływem świeżego (?) po-

nocnej podróży nigdy nie dane było nam przeżyć.

I tak... w trakcie wędrowki trafiamy na budowę metra. Podobny reportażowy sposób przedstawiania zdarzeń. Mamy robotników, mamy potężną, nowoczesną maszynę ryjącą w ziemi (przypomina swym wyglądem, spiętanem rur i bębnow potężnego przedpotopowego gada), którego reżyser kazał stworzyć tylko i wyłącznie na potrzeby filmu! Nagle przy kolejnej próbie pogłębienia korytarza budowniczy natrafia na starożytną rzymską willę ze wspaniałymi freskami, które pod wpływem świeżego (?) po-

nocnej podróży nigdy nie dane było nam przeżyć.

I tak... w trakcie wędrowki trafiamy na budowę metra. Podobny reportażowy sposób przedstawiania zdarzeń. Mamy robotników, mamy potężną, nowoczesną maszynę ryjącą w ziemi (przypomina swym wyglądem, spiętanem rur i bębnow potężnego przedpotopowego gada), którego reżyser kazał stworzyć tylko i wyłącznie na potrzeby filmu! Nagle przy kolejnej próbie pogłębienia korytarza budowniczy natrafia na starożytną rzymską willę ze wspaniałymi freskami, które pod wpływem świeżego (?) po-

nocnej podróży nigdy nie dane było nam przeżyć.

I tak... w trakcie wędrowki trafiamy na budowę metra. Podobny reportażowy sposób przedstawiania zdarzeń. Mamy robotników, mamy potężną, nowoczesną maszynę ryjącą w ziemi (przypomina swym wyglądem, spiętanem rur i bębnow potężnego przedpotopowego gada), którego reżyser kazał stworzyć tylko i wyłącznie na potrzeby filmu! Nagle przy kolejnej próbie pogłębienia korytarza budowniczy natrafia na starożytną rzymską willę ze wspaniałymi freskami, które pod wpływem świeżego (?) po-

wietrza, kurczą się, znikają. Na nic nie zda się technika, nowoczesny sprzęt, wiedza. Przelatująca i przerażająca scena ludzkiej bezradności w epoce technicznego i cywilizacyjnego rozkwitu.

Wszystko w „tamnym” obrazie jest zdegradowane lub... wywyższone, przestawione, a przynajmniej przesunięte, choćby o milimetr, a już powstaje nowa jakość. Wewnętrzny obraz miast zapisany na filmowej taśmie, a zarazem wielka alegoria na temat współczesnego świata.

Wszystko w „tamnym” obrazie jest zdegradowane lub... wywyższone, przestawione, a przynajmniej przesunięte, choćby o milimetr, a już powstaje nowa jakość. Wewnętrzny obraz miast zapisany na filmowej taśmie, a zarazem wielka alegoria na temat współczesnego świata.

Wszystko w „tamnym” obrazie jest zdegradowane lub... wywyższone, przestawione, a przynajmniej przesunięte, choćby o milimetr, a już powstaje nowa jakość. Wewnętrzny obraz miast zapisany na filmowej taśmie, a zarazem wielka alegoria na temat współczesnego świata.

Wszystko w „tamnym” obrazie jest zdegradowane lub... wywyższone, przestawione, a przynajmniej przesunięte, choćby o milimetr, a już powstaje nowa jakość. Wewnętrzny obraz miast zapisany na filmowej taśmie, a zarazem wielka alegoria na temat współczesnego świata.

Wszystko w „tamnym” obrazie jest zdegradowane lub... wywyższone, przestawione, a przynajmniej przesunięte, choćby o milimetr, a już powstaje nowa jakość. Wewnętrzny obraz miast zapisany na filmowej taśmie, a zarazem wielka alegoria na temat współczesnego świata.

Wszystko w „tamnym” obrazie jest zdegradowane lub... wywyższone, przestawione, a przynajmniej przesunięte, choćby o milimetr, a już powstaje nowa jakość. Wewnętrzny obraz miast zapisany na filmowej taśmie, a zarazem wielka alegoria na temat współczesnego świata.

Wszystko w „tamnym” obrazie jest zdegradowane lub... wywyższone, przestawione, a przynajmniej przesunięte, choćby o milimetr, a już powstaje nowa jakość. Wewnętrzny obraz miast zapisany na filmowej taśmie, a zarazem wielka alegoria na temat współczesnego świata.

Wszystko w „tamnym” obrazie jest zdegradowane lub... wywyższone, przestawione, a przynajmniej przesunięte, choćby o milimetr, a już powstaje nowa jakość. Wewnętrzny obraz miast zapisany na filmowej taśmie, a zarazem wielka alegoria na temat współczesnego świata.

Wszystko w „tamnym” obrazie jest zdegradowane lub... wywyższone, przestawione, a przynajmniej przesunięte, choćby o milimetr, a już powstaje nowa jakość. Wewnętrzny obraz miast zapisany na filmowej taśmie, a zarazem wielka alegoria na temat współczesnego świata.

Wszystko w „tamnym” obrazie jest zdegradowane lub... wywyższone, przestawione, a przynajmniej przesunięte, choćby o milimetr, a już powstaje nowa jakość. Wewnętrzny obraz miast zapisany na filmowej taśmie, a zarazem wielka alegoria na temat współczesnego świata.

Wszystko w „tamnym” obrazie jest zdegradowane lub... wywyższone, przestawione, a przynajmniej przesunięte, choćby o milimetr, a już powstaje nowa jakość. Wewnętrzny obraz miast zapisany na filmowej taśmie, a zarazem wielka alegoria na temat współczesnego świata.

Wszystko w „tamnym” obrazie jest zdegradowane lub... wywyższone, przestawione, a przynajmniej przesunięte, choćby o milimetr, a już powstaje nowa jakość. Wewnętrzny obraz miast zapisany na filmowej taśmie, a zarazem wielka alegoria na temat współczesnego świata.

Wszystko w „tamnym” obrazie jest zdegradowane lub... wywyższone, przestawione, a przynajmniej przesunięte, choćby o milimetr, a już powstaje nowa jakość. Wewnętrzny obraz miast zapisany na filmowej taśmie, a zarazem wielka alegoria na temat współczesnego świata.

Wszystko w „tamnym” obrazie jest zdegradowane lub... wywyższone, przestawione, a przynajmniej przesunięte, choćby o milimetr, a już powstaje nowa jakość. Wewnętrzny obraz miast zapisany na filmowej taśmie, a zarazem wielka alegoria na temat współczesnego świata.

Wszystko w „tamnym” obrazie jest zdegradowane lub... wywyższone, przestawione, a przynajmniej przesunięte, choćby o milimetr, a już powstaje nowa jakość. Wewnętrzny obraz miast zapisany na filmowej taśmie, a zarazem wielka alegoria na temat współczesnego świata.

Wszystko w „tamnym” obrazie jest zdegradowane lub... wywyższone, przestawione, a przynajmniej przesunięte, choćby o milimetr, a już powstaje nowa jakość. Wewnętrzny obraz miast zapisany na filmowej taśmie, a zarazem wielka alegoria na temat współczesnego świata.

Wszystko w „tamnym” obrazie jest zdegradowane lub... wywyższone, przestawione, a przynajmniej przesunięte, choćby o milimetr, a już powstaje nowa jakość. Wewnętrzny obraz miast zapisany na filmowej taśmie, a zarazem wielka alegoria na temat współczesnego świata.

Wszystko w „tamnym” obrazie jest zdegradowane lub... wywyższone, przestawione, a przynajmniej przesunięte, choćby o milimetr, a już powstaje nowa jakość. Wewnętrzny obraz miast zapisany na filmowej taśmie, a zarazem wielka alegoria na temat współczesnego świata.

Wszystko w „tamnym” obrazie jest zdegradowane lub... wywyższone, przestawione, a przynajmniej przesunięte, choćby o milimetr, a już powstaje nowa jakość. Wewnętrzny obraz miast zapisany na filmowej taśmie, a zarazem wielka alegoria na temat współczesnego świata.

Wszystko w „tamnym” obrazie jest zdegradowane lub... wywyższone, przestawione, a przynajmniej przesunięte, choćby o milimetr, a już powstaje nowa jakość. Wewnętrzny obraz miast zapisany na filmowej taśmie, a zarazem wielka alegoria na temat współczesnego świata.

Wszystko w „tamnym” obrazie jest zdegradowane lub... wywyższone, przestawione, a przynajmniej przesunięte, choćby o milimetr, a już powstaje nowa jakość. Wewnętrzny obraz miast zapisany na filmowej taśmie, a zarazem wielka alegoria na temat współczesnego świata.

Wszystko w „tamnym” obrazie jest zdegradowane lub... wywyższone, przestawione, a przynajmniej przesunięte, choćby o milimetr, a już powstaje nowa jakość. Wewnętrzny obraz miast zapisany na filmowej taśmie, a zarazem wielka alegoria na temat współczesnego świata.

Wszystko w „tamnym” obrazie jest zdegradowane lub... wywyższone, przestawione, a przynajmniej przesunięte, choćby o milimetr, a już powstaje nowa jakość. Wewnętrzny obraz miast zapisany na filmowej taśmie, a zarazem wielka alegoria na temat współczesnego świata.

Wszystko w „tamnym” obrazie jest zdegradowane lub... wywyższone, przestawione, a przynajmniej przesunięte, choćby o milimetr, a już powstaje nowa jakość. Wewnętrzny obraz miast zapisany na filmowej taśmie, a zarazem wielka alegoria na temat współczesnego świata.

Wszystko w „tamnym” obrazie jest zdegradowane lub... wywyższone, przestawione, a przynajmniej przesunięte, choćby o milimetr, a już powstaje nowa jakość. Wewnętrzny obraz miast zapisany na filmowej taśmie, a zarazem wielka alegoria na temat współczesnego świata.

Wszystko w „tamnym” obrazie jest zdegradowane lub... wywyższone, przestawione, a przynajmniej przesunięte, choćby o milimetr, a już powstaje nowa jakość. Wewnętrzny obraz miast zapisany na filmowej taśmie, a zarazem wielka alegoria na temat współczesnego świata.

Wszystko w „tamnym” obrazie jest zdegradowane lub... wywyższone, przestawione, a przynajmniej przesunięte, choćby o milimetr, a już powstaje nowa jakość. Wewnętrzny obraz miast zapisany na filmowej taśmie, a zarazem wielka alegoria na temat współczesnego świata.

Wszystko w „tamnym” obrazie jest zdegradowane lub... wywyższone, przestawione, a przynajmniej przesunięte, choćby o milimetr, a już powstaje nowa jakość. Wewnętrzny obraz miast zapisany na filmowej taśmie, a zarazem wielka alegoria na temat współczesnego świata.

Wszystko w „tamnym” obrazie jest zdegradowane lub... wywyższone, przestawione, a przynajmniej przesunięte, choćby o milimetr, a już powstaje nowa jakość. Wewnętrzny obraz miast zapisany na filmowej taśmie, a zarazem wielka alegoria na temat współczesnego świata.

Wszystko w „tamnym” obrazie jest zdegradowane lub... wywyższone, przestawione, a przynajmniej przesunięte, choćby o milimetr, a już powstaje nowa jakość. Wewnętrzny obraz miast zapisany na filmowej taśmie, a zarazem wielka alegoria na temat współczesnego świata.

Wszystko w „tamnym” obrazie jest zdegradowane lub... wywyższone, przestawione, a przynajmniej przesunięte, choćby o milimetr, a już powstaje nowa jakość. Wewnętrzny obraz miast zapisany na filmowej taśmie, a zarazem wielka alegoria na temat współczesnego świata.

Wszystko w „tamnym” obrazie jest zdegradowane lub... wywyższone, przestawione, a przynajmniej przesunięte, choćby o milimetr, a już powstaje nowa jakość. Wewnętrzny obraz miast zapisany na filmowej taśmie, a zarazem wielka alegoria na temat współczesnego świata.

Wszystko w „tamnym” obrazie jest zdegradowane lub... wywyższone, przestawione, a przynajmniej przesunięte, choćby o milimetr, a już powstaje nowa jakość. Wewnętrzny obraz miast zapisany na filmowej taśmie, a zarazem wielka alegoria na temat współczesnego świata.

Wszystko w „tamnym” obrazie jest zdegradowane lub... wywyższone, przestawione, a przynajmniej przesunięte, choćby o milimetr, a już powstaje nowa jakość. Wewnętrzny obraz miast zapisany na filmowej taśmie, a zarazem wielka alegoria na temat współczesnego świata.

Wszystko w „tamnym” obrazie jest zdegradowane lub... wywyższone, przestawione, a przynajmniej przesunięte, choćby o milimetr, a już powstaje nowa jakość. Wewnętrzny obraz miast zapisany na filmowej taśmie, a zarazem wielka alegoria na temat współczesnego świata.

Wszystko w „tamnym” obrazie jest zdegradowane lub... wywyższone, przestawione, a przynajmniej przesunięte, choćby o milimetr, a już powstaje nowa jakość. Wewnętrzny obraz miast zapisany na filmowej taśmie, a zarazem wielka alegoria na temat współczesnego świata.

Wszystko

Jeszcze raz...

Bliższe dziesięć lat temu ukazała się na łamach „Ogłosów” moja pierwsza publikacja złożona w ramach tego tygodnika. Zadebiutowałem tutaj „przebojowo” — tytuł mówi sam za siebie: „Mocne uderzenie”. Po prawdzie to został on zmieniony w sekretariacie redakcji, bo ja zaryzykowałem materiał na prawie całą szpaltę: Mocne uderzenie „po łódzku”. Widocznie ówczesni redaktorzy pisma doszli do wniosku, że ten skrótowy będzie bardziej chwytliwy i ku mojej radości zareklamowali tekst na stronie tytułowej. Niestety, zdjęcia muzycznych instrumentalistów nie całkiem przystawały do treści mojego artykułu, który opowiadał — rzecz jasna, wrywkowo — o „łódzkim ruchu muzycznym w latach sześćdziesiątych. „Mocne uderzenie” to synonim muzyki określonej także jako big-beat, młodzieżowa, rytmiczna; synonim oznaczający jednocześnie zjawisko o szerszym charakterze. Młodzieżowa subkultura wędrowała do nas, jak to zazwyczaj bywa, z zachodu Europy. Łódź, w końcu na nasze rodzime warunki — prawdziwa metropolia, nie była wyjątkiem, gdy ulegała muzyce „Bitelesów” i ich mniejszych kopistów. Tych ostatnich w kraju i w Łodzi również przybywało z dnia na dzień. Oczywiście, trudno wszystkich mierzyć tą samą miarą. To prawda, że najbardziej liczącymi się rekwizytami były wówczas dla nastolatka elektryczna gitara (przynajmniej „Jolana”, choć wcale nie byłoby to dziwne, gdyby to była „samodział”) i zachodnia płyta (singel The Beatles równał się początkowo longplayom innych grup, ale trawo to stosunkowo krótko) prosto z sobotniego bazaru jeszcze na placu przy ulicy Rzgowskiej.

Nie tedy dziwnego, że młodzieżowe zespoły muzyczne w naszym mieście powstawały wtedy dosłownie, jak grzyby po deszczu i sam się dzisiaj dziwię, że tyle się tam tego narobiło. A dziwie się dlatego, bo warunki bynajmniej temu nie sprzyjały — i to po każdym względem. Pewne bariery dzisiaj pozorne były wtedy nie do przeskokowania. W sferze marzeń pozostawały — na przykład — plany rychłego sprowadzenia z zagranicy w miarę dobrego sprzętu, instrumentów. Jedynym plusem było w tym momencie istnienie w Łodzi pracowni Zygmunta Szpaderskiego, który uchodził nie bez racji za fachmana na europejskim poziomie, jeśli chodzi o zestawy perkusyjne. Ież to domów kultury i klubów niechętnie otwierało swe podwoje dla „halasującej” młodzieży? Dla wielu młodych ambitnych przytulkiem artystycznych działań pozostawały sienie, klatki schodowe, działkowe ogródki, komórki... A jednak zainteresowanie nową muzyką przyniosło przez długie lata nie mało. Wręcz przeciwnie.

Swierczko, Pajaki, 47 Pokolenie Piasta i Rzeźbicy, Komety, Słwki, Puchacz, Impulsy, Metecy, Sygnaly, Dandys, Żółwie, Cykady, Entuzjaci, Białe Kruki, Piotrusie — to tylko niektóre nazwy elektryzujące w latach sześćdziesiątych nastolatków obu płci. Warto w tym miejscu odnotować także działalność w owym czasie jedynego bodaj większego zespołu muzycznego w Łodzi o profilu całkowicie rozrywkowym — był to big-band „Kanon Rytm”. Z tym zespołem współpracował jako wokalista student Wydziału Reżyserii w szkole na Targowej — Haakon Sandoy. Z pochodzenia Norweg, śpiewał zupełnie niezłe, prawie wyłącznie w języku angielskim i był przyjmowany jako swoista ciekawostka na łódzkim rynku muzyki młodzieżowej. Później ukończył studia, zresztą po paru latach był współautorem filmu „Dagny” poświęconego Przybyszewskiej, ale dalej słuch o nim zaginął. Wyjeżdżając do swojej ojczyzny, Haakon „porwał” ze sobą znakomicie zapowiadającą się wokalistkę — Aleksandrę Naumik, która była wówczas solistką „Cykad”. Ona została po prostu jego żoną i również wyjechała do Norwegii. Kilka lat temu, będąc w Kopenhadze, zupełnie przypadkowo dowiedziałem się o tym, że Ola po wyjeździe z Polski nie przestała śpiewać. Okazało się, iż najlepsza norweska piosenkarka posługująca się pseudonimem Alex to właśnie Aleksandra Naumik. Od pewnego czasu wspomina się o tym także w polskich środkach masowego przekazu; nie tak dawno widziałem teledysk z Ołą (która poznałem na ekranie nie bez trudu w programie naszej telewizji, a z różnych źródeł docierają informacje o możliwości jej przyjazdu na koncerty do Polski. Byłoby to naprawdę ciekawe spotkanie po latach.

Ale wróćmy jeszcze na chwilę do łódzkiego „mocnego uderzenia”. Zespoły powstawały i rozpadały się, nieraz odradzały się na pewien czas w nowych konfiguracjach personalnych czy pod inną firmą. Na dobrą sprawę z grup amatorskich najdłuższe brylowały „Cykady”, ale też był to zespół harcerski, mający otętego sponsora. Większość pozostałych ansambli przetrwała się w różnych miejscach lub po prostu była bezdomna.

Nawet w parę lat później ludzie działający w młodzieżowym ruchu muzycznym na terenie Łodzi w latach sześćdziesiątych chętnie przyznawali się do grupy „Potanie”, w której grali: Andrzej Nebeski i Włodzimierz Wander. Mimo że pozostali członkowie zespołu pochodzili z Wybrzeża, a solista z Warszawy. Naprawdę pierwszą formacją — nazwijmy to tak tradycyjnie — beatową w Łodzi, której udało się wyjść z zakletego kręgu na szersze wody były „Trubadury” używający początkowo nieco pretensjonalnej nazwy The Troubadours. Jeszcze zanim — po minimalnych zmianach w składzie — stali się tymi „Trubadurami” od „Krajobrazów”. „Znamy się tylko z widzenia”. „Sobótki” i innych przebojów, bywało o nich głośno w Polsce; zdobył nagrodę na festiwalu opolskim, występował w telewizji, nagrywał dla radia, miał w dorobku dwie małe płyty. Drugim zespołem młodzieżowym uformowanym w Łodzi na bazie przede wszystkim miejscowych muzyków, który w ciągu paru miesięcy miał zawojuować nie tylko Polskę, ale i Polskę zagraniczną, była grupa skifflowa „No To Co” stworzona przez Piotra Janczerskiego.

W swoim materiale sprzed dziesięciu lat z walcami wymieniałem sporo nazwisk. Niektóre z nich z pewnością dzisiejszemu młodociemu melomanowi nie powiedzą nic, ale są też takie, które jeszcze teraz powtarzają się na radiowej antenie nie tylko przy piosenkach „z muzyką”, ale i przy okazji nowych nagrań. Z młodzieżowego ruchu muzycznego lat sześćdziesiątych wyzyciło najmniej kilkanaście nazwisk łódzian. Liczącym się w pewnych okresach na muzycznej mapie kraju, Włodzimierz Korcz, Janusz Stawiński, Kazimierz Kowalski, Krzysztof Krawczyk, Jerzy Krzemiński, Marian Szejk — Sławomir Kowalewski, Andrzej i Jerzy Rybicki — to te nazwiska (zresztą w skali kraju nie ogólnie), które nasunęły mi się w pierwszej kolejności.

Dlatego piszę o tym wszystkim, mimo że właściwie od apogeum „mocnego uderzenia” minęło już piętnaście lat? Po prostu porównuję tamten szal z obecnym rockowym nędzą. Znajduję wiele punktów wspólnych. I zastanawiam się, jak to, co trwa teraz, się skończy. Mam równocześnie nadzieję, iż znajdzie się ktoś — jak ja przed kilkunastu laty — bezpośrednio uczestniczący w całej sprawie, kto za parę lat w miarę na zimno będzie potrafił wszystko opisać.

KRZYSZTOF DRZEWIECKI

1. Marek Hłasko pozostał przede wszystkim legendą. Legenda żywa, może największa w naszej powojennej literaturze. Złożyło się na to kilka przyczyn. Decydującą rolę odegrał chyba talent, specyficzny, wielki talent pisarski, który eksplodował nagle, objawił się niemal z dnia na dzień, utrafił w indywidualne i społeczne nastroje, zafascynował współczesnych tak dalece, iż przez czas jakiś mówiono nawet o szkółce Marka Hłaski. Ale i to nie była to prawda. Pisał tak samo jak Hłasko nie potrafił zadziwić z jego rówieśników. Wówczas, gdy on startował, nie mówiono się raczej o idolach czy gwiazdach, ale o całej konstelacji literackiego pokolenia „Śwójczesność” gwiazdą jego świeciła najmocniej. Przypomniała meteor. Przecież dla wielu był i pozostał autorem tylko jednej książki — „Pierwszego kroku w chmurach”. Według jego opowiadań robiono filmy — „Petle”, „Bazę ludzi umarłych”, „Osmy dzień tygodnia”. Ten ostatni będzie można ponoć zobaczyć dopiero teraz, czwartej wieku po nakręceniu.

Nieustabilizowane, gwałtowne życie (przerwane w 35 roku śmiercią w Wiesbaden; w dość tajemniczych okolicznościach) sprzyjało narastaniu i utwierdzeniu legendy. Krążyły anegdoty. W publikowanych na Zachodzie książkach sam Hłasko pielegnował je czule i pieczołowicie. Stylizował się na człowieka mocnego. A był sentymentalny i tragiczny. O jego perypetiach na Zachodzie nie wiemy zbyt wiele — w pewnym momencie usłowoano zrobić zeń pisarza niemieckiego, potem Izraelczyka. Był jednak i pozostał pisarzem polskim, kontrowersyjnym, lubującym się w kontrastach. Kochał miłość, ale przeciwstawiał się zakłamaniu. Chciał żyć pełnią życia, a w twórczości jego aż się roi od barw ciernych. Wierzył w ludzką podłość, lecz sądził, że literatura uda się być może uciec chore dusze... 2.

Istnieniu legendy Marka Hłaski nie przeszkadza wcale fakt, iż stopniowo i powoli docierały do opinii publicznej wyobrażenia z rodzinnego archiwum, którym opiekują się matka pisarza, Juwenilia. Takim właśnie młodzieńczym tekstem jest „Sonata marymoncka”. Pisał ją Hłasko jako człowiek kilkunastoletni, wnikliwy obserwator odbudowującej się Warszawy i kształtującego się po wojnie no-

wego „du”. Rejestrował warszawski folklor jakby trochę na zasadzie reminiscencji z Wiedzy, albo z zapamiętanej z dzieciństwa apasowskiej piosenki, jakich ongiś śpiewano wiele (i takich kilka w „Sonacie marymonckiej” znajdziemy). Z drugiej strony wyraźnie daje się odczuć wpływ koncepcji bohatera pozytywnego, jaka oficjalnie obowiązywała w czasie, gdy Hłasko pisał swą młodzieńczą powieść. Być może zresztą uległ w tym zakresie sugestiom lektorów maszynopisu. Jednym z nich był Igor Newerly, który słowa zachęty skierowane do początkującego autora oraz uwagi warsztatowe zapisał w marcu 1953 roku. Jakkolwiek było — pojawiający się w „Sonacie marymonckiej” bohaterowie pozyty-

Marek Hłasko — niedoszły bard socrealizmu

wni skreśleni zostali przekonywająco, są to ludzie żywi, a nie marionetki powtarzające raz na zawsze wyuczone slogany.

Podobnie jak w całej twórczości Marka Hłaski, tak i tutaj punktem wyjścia jest przekonanie o podłości życia. „Życie jest szare, ponure jak ten dzień dzisiejszy, jak niebo koloru oliwki, jak moja ulica na Marymonce. Co może uczynić je lepszym? Spojrzał pustym wzrokiem w ulicę, jakby stamtąd miała nadejść odpowiedź. Uporczywie, jesienią deszcz pozabawiał domy zarysu, drzewa o-ciekaly wodą... Jedno jest pewne — nie można być siabym”. Młody człowiek, bohater powieści Hłaski, zadaje sobie pytanie: dlaczego tak właśnie jest? I poszukuje odpowiedzi, skrytej gdzieś między realnością a marzeniami, między cwaniactwem a uczciwością, między alkoholem a nadzieją. Ryszarda Stanisława Lewandowskiego wyposażył Hłasko we wszystkie życiowe przewary, jakie posiadać mógł sierota wychowany przez marymoncką ulicę. Kontrastuje z nim zdecydowanie postać Szy-

da gwiazdy świeciły wysoko, na moście dzwoniły tramwaje, burczały samochody (...). Z tego wszystkiego czerpał swoje siły i ochotę do walki, on i tyśiące, miliony innych... Prawda, że takiego opisu nie powstałoby się chyba żaden z pokolenia „pryszczatych”?

2. Bogdan Rudnicki, autor monograficznego ujęcia życia i twórczości Marka Hłaski, ustalił, że istniały aż trzy teksty noszące ten sam tytuł: „Sonata marymoncka”. Nie wiemy jednak, jak ma się opublikowana przez PIW powieść do tekstów pozostałych, nie wiadomo zresztą, czy uda się je odnaleźć. W każdym razie „Sonatę marymoncką” przeczytać warto, i to nie tylko dlatego, żeby zobaczyć, jak kształtował się pisarski warsztat Marka Hłaski.

Marek Hłasko: „Sonata marymoncka”, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1982, s. 174, nakład 30.000 egz., cena zł 80,-

Michał Anioł i Eros

Kanwą dłuższego opowiadania Juliana Strykowskiemu*) stało się gorące uczucie miłości czy też przyjaźni, jakie na długie lata połączyło jednego z najwspanialszych artystów wszechczasów Michała Anioła Buonarrotiego z młodszym odcen o lat prawie czterdzieści rzymskim arystokratą synem z urody i wdzięku. Jak twierdzi Giovanni Papini, biograf wielkiego włoskiego rzeźbiarza, malarza, architekta i poety, kontakty Michała Anioła oraz Tommasa del Cavaliere należały do najbardziej spornych problemów życia renesansowego geniusza. Skróćmy mówiąc, istnieją dwie interpretacje owego wieloletniego miłosnego zauroczenia: 1) zdecydowanie pederastyczna, zapoczątkowana przez Aretina i posiadająca zwolenników po dziś dzień; 2) wyłącznie platoniczna, za którą opowiada się wcale nie mniejsza ilość wielbicieli starożytności. Jedni i drudzy operują się raczej na przypuszczeniach, na listach Michała Anioła, jego wierszach czy portrecie Tommasa (Michał Anioł znany był z tego, iż nie lubił odwarzać z natury i nie portretował). Formalnie stosunki między dwoma artystami były takie, jakie zazwyczaj łączą nauczyciela i ucznia. Tommaso del Cavaliere uczył się rysunku w pracowni Buonarrotiego. Lecz już od pierwszej chwili właściciel pracowni tak był zafascynowany fizyczną pięknnością młodzieńca, którego przedstawił mu rzeźbiarz Pierantonio, że niemal natychmiast zrobił dla niego zdumiewające swą pogąbskością rysunki. Jeszcze bardziej zdumiewały współczesnych listy i wiersze Michała Anioła skierowane do ucznia, pełne holdu, zachwyty i uwielbienia. Papini jest jednak zdania, iż dwóch mężczyzn połączył cel duchowy. Powiada: „Michał Anioł, jak wszyscy wielcy, był zakochany w miłości, lecz tak wysokie i czyste miał o niej pojęcie, że instynktownie wzdrygał się przed lubieżnymi i materialnymi kontaktami, które prawie zawsze jej towarzyszą”. Podobnie sądzi i Julian Strykowski, choć z utworu jego wnosić można, iż nie zawsze jest przekonany o słuszności zasady, która charakteryzowała włoski „dolce stil nuovo”, że piękno jest drabiną ku boskości wiodącą. Irving Stone swą wielką powieścią o życiu i sprawach Michała Anioła nadał znamienity tytuł: „Udreką i ekstazą”. Dwa te uczucia wyznaczają także rytm opowieści Juliana Strykowskiego. Wokół nich krąży wyobraźnia pisarza, wiążąc w spójną całość wyjęte z różnych okresów życia epizody.

Giovanni Papini najchętniej cytuje te fragmenty poezji Michała Anioła, z których niedwuznacznie emanuje niebiański, duchowy, ułotny charakter afektu, jakim doznownie obdarzony został del Cavaliere. Strykowski przyznaje, że Eros to istotnie siła, która prowadzi do Boga, lecz potrafi po drodze pogruchotać kości. Dla Florentyńczyka jako artysty „ciało jest miarą wszystkich rzeczy, wzorem wszystkich sztuk, kto ona jego najskrytsze tajemnice, potrafi wszystko...”. Największy artysta zamierzał zostać przeciw najwspanialszym anatomem. Nosił się z zamiarem napisania dzieła o anatomii, lecz nie zawierzył do końca swym siłom. Kroił trupy w kostnicy szpitala, by odsłaniać ciało w większym jeszcze stopniu niż pokazywała je nagoci, by poznać muskuły i ukazać ich grę jak nikt przed nim.

Przemysłna kompozycja pozwoliła Strykowskiemu umieścić pośrodku swego opowiadania stylizowaną według starożytnych dialogów filozoficzną rozmowę Mistrza ze swym przyjacielem, poetą Donatem Giannottim. Dwa humaniści splerają się, czym jest miłość, czym jest dusza i ciało, czym prawda i nieśmiertelność. Nade wszystko chodzi jednak o sztukę, która wydaje się najistotniejszą, najbliższą ideałowi, absolutowi. Służyć jej może wszystko, nawet grzeszna czy występna miłość.

Utrzymane ściśle w renesansowych realiach opowiadanie Juliana Strykowskiego nabiera cech parabol. Staje się przypowieścią o wielkich namiętnościach i cierpieniach ludzi, którzy w różny sposób starają się je przezwyciężyć, którzy łakną nie sławy, lecz doskonałości. Który na drodze swej napotykają jednak przede wszystkim wątpliwości: „Czy wystarczy być znawcą sztuki, żeby uratować ludzką twarz? Czy podłość przetrzeje się podłością, a więc złem, jakby w zależności od zodiaku, o miejscu, w którym się znalazła? Czy zło nie jest złem zawsze i wszędzie?”. Wątpliwości trapiące Mistrza Michała Anioła są przemienne i w nich, być może, tkwi źródło licznych jego ucieczek, poszukiwanie samotności, niechęć wobec świata i jego mieszkańców, leków i urojen, i wreszcie genialnej twórczości. To przecież o sobie ułożył Michał Anioł gorzki aforyzm:

Mistrzostwa nie zdobędzie,
Kto uprządy nie dosięgnie
Sztuki i życia krańców.

(przekład: Leopold Staff)

TADEUSZ BŁĄŻEWSKI

*) Julian Strykowski: „Tommaso del Cavaliere”, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1982, s. 17, nakład 30.000 + 315 egz., cena zł 30,-

Kronika kulturalna

UROCZYSTE obchody 300-lecia odsieczy wiedeńskiej zainaugurowane otwarciem, w dniu 29 sierpnia, wielkiej wystawy na Zamku Królewskim w Warszawie, pod nazwą „Rzeczpospolita w dobie Jana III”. Przy pomocy Archiwum Głównego Akt Dawnych i Biblioteki Narodowej udało się na wystawie zdobyć niezwykle obfity, bo liczący 900 pozycji materiał archiwalny (starodruki, ikonografie, malarstwo) przedstawiający to wszystko, co mogłoby dać pełny obraz państwa polskiego w czasach Jana III Sobieskiego. Wystawę w pomieszczeniach Zamku na I piętrze otwiera część historyograficzna i ikonograficzna. W jednej z piwnic saskich znajdują się urządzenia audiowizualne. Tu przy pomocy rzutnika, muzyki i słownego komentarza można będzie zapoznać się z setkami dzieł sztuki pochodzących z tego okresu. Wystawa czynna będzie cały wrzesień i październik. Ukazę się również obszerny katalog naukowy wprowadzający w problematykę samej odsieczy wiedeńskiej, a także dający szersze tło społeczno-polityczne tego zwycięstwa. W terminach nieco późniejszych otwarte zostaną jeszcze dwie wystawy poświęcone zwycięstwom pod Wiedniem. Jedną w Muzeum Wilanowskim: „Sława i chwała króla Jana III Sobieskiego w sztuce i literaturze od XVII do XX wieku oraz na Wawelu — Kampania wiedeńska 1683 roku”.



Fragment wystawy

ŁÓDZKIE teatry zaczynają wznawiać działalność po wakacyjnej przerwie. Teatr Wielki zaczął sezon 6 września. Zainaugurował go koncert prowadzony przez Wojciecha Dąbrowskiego, gościnnie wystąpił Hanno Blaschke — baryton z Monachium, w którego wykonaniu słyszeliśmy między innymi pieśń G. Mahlera, L. van Beethovena i H. Wolfa. 1 września natomiast wystąpiła przed łódzką publicznością Bogna Sokorska. Śpiewała ona pieśni F. Schuberta, M. Ravela, S. Rachmaninowa i J. Sokorskiego. Śpiewaczkę akompaniował Jerzy Sokorski.

W PRZEDBORZU i Górach Mokrych w dniach 2-4 września odbył się VI Ogólnopolski Przegląd Piosenki i Przyspiewki Ludowej. Celem imprezy było zaprezentowanie dorobku młodych twórców amatorskiego ruchu artystycznego, wymiana repertuaru, wreszcie przypomnienie starych, zapomnianych piosenek i przyspiewek ludowych. Przeglądowi towarzyszyło wiele imprez. M. in. swój program zaprezentowały zespoły pieśni i tańca działające na terenie województwa piotrkowskiego.

JEDNYM z laureatów VII Międzynarodowego Festiwalu Filmowego w Montreale został Wojciech Pszonik. Podzielił się on nagrodą za najlepszą rolę męską z Gerardem Depardieu.

Najbardziej bolały ręce, a szczególnie — dłonie. W nocy musieli trzymać je wyciągnięte poza głowę, żeby dało się wreszcie jakoś zasnąć. Rano palce były tak spuchnięte, że każdy ruch stawał się torturą, a zacisnięcie ich w pięść — w ogóle niemożliwe. Więc szybko — pod kran. Pięć minut w zimnej wodzie, ubrać się i na stanowisko, bo inaczej — żegnaj pracu, żegnajcie pieniądze. I tak przez wiele dni, tygodni...

Potem ból mijał. Powoli nabierali doświadczenia i wprawdy, ale potem zwykle kończyła się wiza i trzeba było wracać do kraju. Nie było problemu — na wolne miejsce czekał już następni. Na ogół nienawykli do tak intensywnej pracy, też mieli nietławy początek. Nie skarzyli się jednak ani słowem — bo i komu? Szeffowi? Kolegom? Wiedzieli, że nie znajdą u nich zrozumienia. Nikt ich przecież do niczego nie zmuszał. Sami tego chcieli. Sami przyjechali z dalekiej Polski, sami godzili się pracować od świtu do nocy — także w soboty, niedziele i święta — żeby tylko tych funtów było jak najwięcej. Zdawali sobie dobrze sprawę, że choć tu zarabają grosze, do kraju będą wracać prawie jako milionerzy. Kupią samochód, własnościowe mieszkanie, futro dla żony, Ruszą z własnym interesem. O tym tylko myśleli.



Zmęczeni byli od pierwszego dnia, a nawet jeszcze wcześniej, jeszcze zanim wyjechali z kraju. Podania, paszporty, promesy... Nie tak łatwo to wszystko załatwić, bo wszędzie kolejki, terminy, jakieś zaświadczenia... Urzędnik nasz pan. Więc kiedy znaleźli się wreszcie na pokładzie „Pomeranii”, przespali nawet postój w Kopenhadze.

Następnego dnia prom zawiązał do Felixstowe, niewielkiego portu — 70 mil od Londynu. Anglików interesowały głównie trzy rzeczy: alkohol, papierosy, perfumy. Tak mało? A pieniądze — ile mają pieniędzy? Razem — 180 funtów. Powinno wystarczyć na miesiąc, na tyle więc mogą dostać wizę wjazdową. Oczywiście pod warunkiem, że nie podejma pracy zarobkowej, bo to jest zabronione. Są przecież turystami. Aha, jeszcze drobnostka — u kogo zamierzają się zatrzymać? Ale i na to pytanie byli przygotowani. recytując gładko nazwiska i adresy. Były autentyczne — można sprawdzić — tyle tylko, że żadna z wymienionych osób nie spoziewała się odwiedzin znanych z Polski. Tego jednak nikt już nie dociekał i bardzo dobrze, bo przecież i tak nie powiedzieli by prawdy. Jedźcie my na zarobek do jednego Polaka, który w Londynie ma swoją fabryczkę i nielegalnie zatrudnia rodaków z kraju. U niego będziemy mieszkać i pracować. Mamy się zgłosić do pani Kasl i powołać się na pana Władzia, który tam już był. Powiedział nam co i jak i od którego mamy ten adres. Wszystko inne to łóża.

Powiedziawszy to, mogli by od razu chyba wracać do Polski, a tak w godzinę później dojeżdżali już do stolicy Zjednoczonego Królestwa. Roman — skoncentrowany nad kierownicą, żeby odruchowo nie zjechać na prawą stronę. Irena rozglądająca się na boki, gdzie by tu kupić plan miasta.

W ostatni wieczór nie było to takie proste. Na jednej ze stacji benzynowych owszem mieli, ale tylko do wyglądu. Poza tym plan był w formie książeczki, niewiele więc się z niego dowiedzieli. Na szczęście jakiś młody motocyklista uśmiechnął im na kartce jak mają jechać, a wkrótce zorientowali się, że ich po prostu pilotuje. Dobra nasza, pomysleli, nie spuszczać z oczu tego romaranczowej kurtki, ale jakież było ich zdziwienie, kiedy Anglik zatrzymał się przed samotnym posterunkiem policyjnym i powiedział, że tu właśnie pracuje.

No i już ich mają, musieli być śledzeni od samego początku, teraz dopiero się zaczęło...

Nie się jednak nie zaczęło, a w każdym razie nie to, o czym

myśleli. Młody głina doholował ich na samo miejsce, po drodze zaprosił na piwo i obiecał pomoc, gdyby „znajomych” nie było akurat w domu.

Czy domyślał się do kogo i po co naprawdę przyjechali? Chyba tak, skoro fabryczka pana Benona znajdowała się całkiem blisko posterunku, zadaniem pracowników którego było przecież między innymi strzec porządku w najbliższej okolicy. Na pewno nie raz sam patrolował w nocy tę właśnie ulicę, może nawet zaglądał czasem do fabryczki, żeby zapytać „Are you all right?” Może...

A „znajomych” rzeczywiście nie było. To znaczy nikt po prostu nie otwierał. Ponieważ znali także numer telefonu, postanowili jeszcze zadzwonić z najbliższego automatu. Tym razem się udało, ale szczęście trwało niezwykle krótko. Ustyszeli bowiem, że pan Kasia wyjechała, będzie dopiero w poniedziałek, a w ogóle to nie ma mieszkania, nie ma pracy i „do widzenia”. Mężczyzna, z którym rozmawiali, mówił łamaną polszczyzną, podkreślając cały czas wyraźny i zdecydowany brak zainteresowania dalszym losem dwojga młodych Polaków. Niech sobie robią, co chcą.

Łatwo powiedzieć... Zmęczeni, z podróży, w obcym mieście, w obcym kraju, o tak późno porze w sam środek weekendu... Nie, takiego przyjęcia zupełnie się nie spodziewali. Nie tak to sobie wyobrażali jeszcze parę minut temu. Cała kunsztowna piramida marzeń runęła w jednej chwili.

Popatrzyli pytająco na siebie. Co robić? Najważniejsze, to znaleźć jakiś nocleg. Jutro będą się zastanawiać, co dalej. Teraz trzeba się gdzieś umyć, przespać, odpocząć. Na przedmieściach wzdłżyli sporo tabliczek z napisem „Bed and breakfast”. Jeszcze na promie dowiedzieli się, że są to najlepsze noclegi — około trzech funtów za łóżko i śniadania. Muszą więc powrócić na przedmieścia, bo tu, w centrum nie takiego nie ma. Irena starała się zapamiętać trasę, która jechali. A jechali... No, właśnie — wszystko niby się zgadza, takie same neony, takie same reklamy... Takie same, ale to wcale nie tu. Co za miasto!

Wrócili na posterunek policyjny. Tam przynajmniej obiecał im pomoc. Znający głina chciał ich nawet przemocować u swojej matki. Nie dodzwonił się — widać też wyjechała. Dowiedzieli się jednak, gdzie mogą znaleźć w miarę tani hotel. Gdy dotarli we wskazane miejsce, było już dobrze po północy. Nie wierzyli własnym oczom — wokół same tylko hotele, hoteliki, hoteleczki. W jednym były jeszcze wolne miejsca. Zapukali raz, drugi, trzeci...

Drzwi otworzyła im Hinduska z czerwoną kropką na czole. Zaprosiła do środka, spisała dane personalne, zainkasowała pieniądze i ze schłodzonego, sprężonego jak najlepsze wódeczki korytarza przedpokojem poprowadziła w dół, do sutereny, czy też jak kto woli — na tak zwany niski parter. Od razu poczuli wilgoć i chłód. W pokój stały dwa łóżka, jakas komoda, na podłodze leżała wykładzina dywanowa, a na wykładzinie — wielki czarny śmiałek bez muszli, który, widać wyszedł właśnie na nocną przechadzkę. W sąsiednim pomieszczeniu, gdzie znajdował się natrysk, znaleźli następną — na ścianach, na posadzce. Byli przetrzęsani. Zapłacili przecież za jedną noc całe 15 funtów i to z góry. Dla Anglika było to może niewiele, ale dla nich... Jak tak dalej pójdzie w ciągu tygodnia stracą wszystkie pieniądze. Nie będzie nawet za co wrócić do kraju. Zasnąć, jak najprędzej zasnąć...

Śniadanie właścicielka osobście przyniosła do pokoju. Dwie cienkie grzanki, jajko na miękko, odrobina masła i dżemu, filiżanka kawy z mlekiem. Godzi wstał na ulicę i zostawiając samochód pod hotelem, wybrał się na przedpołudniowy niedzielny spacer po Londynie. W napatkanej przypadkiem trafice kupił przewodnik i plan miasta. Kołowe 3 funty. W jakimś sklepiku — chleb, masło, mleko... W sumie... Może lepiej nie liczyć?

W pobliżu stacji Tower Hill chcieli znaleźć informacje tu i styczeń, zaznaczona na planie, ale nie takiego tam nie było. Zdenerwowani, załamani wjeżdżali na obiad hot dogi, popili herbatę z mlekiem (razem z biletem na metro znowu 5 fun-

Szmaciany biznes

PAWEŁ TOMASZEWSKI

tów) i poważnie zaczęli się zastanawiać, czy na tym aby nie zakończy się ich wycieczka do Anglii. Nic im przecież nie wychodziło... Gdy nagle Irena przypomniała sobie, że mają jeszcze hebel. Zwykły stolarski hebel, który dostali przed wyjazdem od kolegi, by przy okazji dostarczyć go w Londynie niejakemu panu Jarkowi.

Pan Jarek wyjechał z Polski do Anglii przed kilku laty, tu ożenił się z Angielką, zapisał na studia i został na stałe. Od władz miejskich dostał pożyczkę na remont domu, który stanie się jego własnością, jeśli przeprowadzi remont w określonym terminie. Propozycja była nęcąca, a że małżeństwo szybko się rozpadło, pan Jarek przyjął ją przysyła — na pewno znajdzie im jakąś kwaterek. Pracy mogą ewentualnie szukać w hotelu „Europa”, bo jego właścicielem jest Polak. Poza tym jest jeszcze Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny. Tam wszędzie zbierają się Polacy — i ci z dawnej emigracji i ci z najmłodszej. Tam sprzedaje się polską prasę, polskie wydawnictwa, książki... No, a gdyby nie z tego jednak nie wyszło, to ostatnie nie mogą przecież do niego wrócić i przemocować. Co prawda, nie ma za bardzo miejsca, bo on sam śpi w jednym nadającym się do zamieszkania

Dom pana Jarka był istną ruiną. Okna zabite deskami, popadające tynki, odrapane drzwi. Przed wejściem — sterta piasku. Wewnątrz — jeszcze gorzej. Po wąskiej desce gospodarz popro-

wadził ich do kuchni, w której bałagan panował niezmierny. Ale dopiero tu poczuli się trochę pewniej, mogli też wreszcie najęść się do syta i opowiedzieć komuś spokojnie o swoich niepowodzeniach.

Miny musieli mieć nieciegie, bo pan Jarek, choć zapracowany i sam w tak trudnej sytuacji, że nie stać go było nawet na biały cukier, od razu zaofiarował swoją pomoc. Rodak roślakowi... On też czuł się tu na początku zagubiony i gdyby nie czyjaś pomoc...

Najlepiej, jeśli pojedą do Ogniska Polskiego na Exhibition Road, bo tam w szatni pracuje niejaki pan Sławek, który — gdy mu powiedzą, kto ich przysyła — na pewno znajdzie im jakąś kwaterek. Pracy mogą ewentualnie szukać w hotelu „Europa”, bo jego właścicielem jest Polak. Poza tym jest jeszcze Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny. Tam wszędzie zbierają się Polacy — i ci z dawnej emigracji i ci z najmłodszej. Tam sprzedaje się polską prasę, polskie wydawnictwa, książki... No, a gdyby nie z tego jednak nie wyszło, to ostatnie nie mogą przecież do niego wrócić i przemocować. Co prawda, nie ma za bardzo miejsca, bo on sam śpi w jednym nadającym się do zamieszkania

pokoju na piętrze, ale dla rodaków... A na razie — powodzenia.

Pan Sławek nie zawiodł. Dał im kontakt z kimś, kto wynajmuje Polakom pokoje. Mogą od razu zadzwonić, bo sprawa jest pewna. Umówili się na wieczór pod domem, w którym mieli zamieszkać. Okazało się, że jest to stara, stylowa angielska kamienica, jakich w Londynie tysiące. Punktualnie o wyznaczoną godzinę zatrzymał się przed nią elegancki wóz, z którego wysiadł starszy, siwy już pan, ołski emigrant z czasów wojny. Był bardzo miły, życzliwy, bezpośredni. Pokazał im pokój — na parterze, z łodówką i gazowym kominkiem, ładnie umeblowany. Opłata — 3 funty za dobę, 21 — tygodniowo. Ma jeszcze inny, tańszy, ale w drugim końcu miasta, więc gdyby chcieli...

Nie chcieli. Zdecydowali, że tu już zostaną, a 3 funty, w porównaniu z 15 za hotel, to przecież prawie darmo. Poza tym dość już tej wycieczki, trzeba przecież wreszcie zacząć szukać pracy, bo jeśli jej szybko nie znajdą, nawet tu długo nie posiedzą. Wszystko się tak skomplikowało. Jechali przecież na pewny adres. Tak im się przynajmniej wydawało, a tymczasem...

Mimo wszystko następnego dnia ponownie zjawili się pod fabryczką pana Benona, który sprzątką na ulicy, potwierdził, że ani pracy, ani mieszkania teraz nie ma. Może za miesiąc? Przedłużenie wizy on im załatwi, obiecuje, ale ocki co, muszą sobie radzić sami.

Zaczęli więc kupować gazetę. Całe strony ogłoszeń. Zatrudnię murarza, kierowcę, ślusarza, kelnera, sprzątaczkę... Coś się musi znaleźć! Przez tydzień wrzucali do automatu dwupensówkę za dwupensówką, by ciągle słyszeć, że praca jest niedługo, ale... Bez konkretnego zawodu, bez doskonałej znajomości angielskiego, a zwłaszcza — bez pozwolenia, nie mogli po prostu szans. Oficjalnie nikt nie chciał ryzykować.

Kiedy to zrozumieli znów poszli do pana Sławka, który powiedział chyba do nich sympatycznie, bo bez słowa załatwił im pracę, i szybko, i stosunkowo blisko.

Roman trafił do piekarni pana Rajmunda, gdzie mył, czyścił i szorował przez 10 godzin dziennie z przerwą na śniadanie, lunch, kawę lub herbatę i papierosa. Zaczynał o szóstej rano, kończył o szesnastej. Płaca — 40 funtów tygodniowo z możliwością dorobienia po godzinach i w weekendy. Posiłki — na koszt firmy. Pierwsza wypłata — po dwóch tygodniach i co najmniej siedmiodniowy okres wypowiedzenia, bo inaczej przepada ostatnia tygodniówka. Towarzystwo międzynarodowe: Polacy, Pakistańczyk, Niemiec, Włozka... Anglików nie było.

Irenę pan Sławek umówił u panią Jolę, która pracowała w małym zakładzie krawieckim. Jego właściciel też płacił po 40 funtów, mimo że lunchu w to już nie wliczał. Zatrudniał samych Polaków, a najchętniej — młode, ładne Polki. Sam był starym kawalerem i lubił, widać, towarzystwo młodych kobiet. Nigdy się z tym zresztą nie krył, opowiadając bez przerwy „męsko-damskie” dowcipy i nie stroniąc też od różnych propozycji, które czynił bez większego skrępowania. Godzinami potrafił siedzieć w pracowni i — chyba z nudów — mówić ciągle na jeden zwyczajny temat. A miał wyczał mówić „wy, Polacy” i „my, Angliki”, co musiało brzmieć komiecznie biorąc pod uwagę, że z Polski wyjechał wiele lat po wojnie i nawet języka nie zdażył jeszcze dobrze opanować. Był jednak szefem i wszystko mu było wolno.

U niego również można było dorobić, ale raczej tylko teoretycznie, bo szef nie był wcale skory płacić za nadgodziny. Zachecał do pracy, to prawda, szybko jednak zapomniał, że któraś z pracownic została dłuższą niż musiała. Dyskusji na ten temat nie lubił. Irenę bardzo to oburzało, a kiedy jeszcze poczuła raz na publicznej szef, dała mu po prostu w twarz i tyle ją widział.

Szczerze mówiąc była to odważna decyzja i kto wie, czy zdobyłaby się na nią, gdyby nie kolejna wizyta u pana Benona. I jej i Romanowi kończyła się ważność wiz, pieniądze zarobili mało, za mało, żeby oddać te, które pożyczili przed wyjazdem i przynieść jeszcze coś dla siebie, więc zgodnie z umową zameldowali się znów któregoś dnia w fabryczce. Tym razem pan Benon był już znacznie miłszy niż poprzednio. Nie tylko dotrzymał obietnicy, ale powiedział, że będzie dla nich i praca. Co prawda, również za 40 funtów, ale teraz będą już razem. Od początku przecież chcieli u niego pracować...

Nie musiał im tego powtarzać. W ich sytuacji wszystkie argumenty były za. Irena doświadczyła poprzedniego szefa, Roman zaś zniszczył sobie ręce proszkami, rozerwał spodnie i kalosze. O roboczych ubraniach dla takich pracowników nikt przecież nie myślał. Tymczasem u pana Benona, zarobią tyle samo, może nawet więcej, a przy okazji — jak słyszeć — będą się mogli nieźle ubrać od stóp do głów, i to darmo. Wiedzieli dobrze, że nie lepszego nie znajdą.

!DOKOŃCZENIE W NASTĘPNYM NUMERZE!



Wherever excellence is a way of life, the swing is to Rothmans King Size. Rothmans extra length, inner filter, and the best tobaccos money can buy give you true King Size flavour. Rothmans King Size really satisfies.

ROTHMANS THE GREATEST NAME IN CIGARETTES

Towar wystawiony na sprzedaż



W pierwszej części konkursu dziewczęta zaprezentowały się sopockiej publiczności w strojach wieczorowych. Pierwsza od lewej miss Ziemi Łódzkiej Bogusława Macińska.



Miss „Lata z Radiem” Krystyna Puchała.

Konkurs „Miss Polonia” wywołał wiele kontrowersji. Znaleźli się sympatycy i zagorzali przeciwnicy; jak dotąd tych ostatnich jest więcej. Jak dziewczyna ładna, to głupia — ten stereotyp nadal funkcjonuje w naszej świadomości. Bogusia to ciągle uśmiechnięta, miła dziewczyna, która zgodziła się opowiedzieć o swoim udziale w konkursie.

— Jak najkrócej przedstawiłabyś się?

— Bogusława Macińska, mam 18 lat, to bardzo dobry wiek, ale chciałabym zawsze mieć 16 (śmieje się). W tym roku zdałam maturę, zdawałam na studia, na AWF w Warszawie. Nie udało się.

— Konkurs przeszkodził?

— Nie, nie przyjęto mnie z braku miejsc. W tym roku było wyjątkowo dużo kandydatów.

— Kiedy zdecydowałaś się wziąć udział w konkursie?

— W przeddzień. Namówiły mnie koleżanki. Wahalam się, ale kiedy nazwały mnie tchórzem, wzięłam kostium, sukienkę i poszłam. W domu nikt o tym nie wiedział.

— Pierwsze wrażenia...

— Dziewczyny były różne; od delikatnie mówiącej, nęcących do naprawde słicznych. Niektóre z nich traktowały sprawę bardzo serio, starały się za wszelką cenę zwrócić uwagę jurorów. To trochę raziło i śmieszyło jednocześnie.

— Co czułaś przechodząc przed jury?

— Czułam się jak towar wystawiony na sprzedaż. Defilowałyśmy kilka razy, prezentując się w sukienkach, potem w kostiumach. Kiedy wybrano 10 finalistek, tańczyłyśmy w rytm muzyki. Byłam zmęczona i chciałam już wracać do domu, z drugiej strony to miło wiedzieć, że się komuś podobam.

— Jak oceniasz pomysł konkursu i jego realizację?

— Pomysł jest dobry, ale odbiór społeczeństwa — przerażający. Utało się, że dziewczyna biorąca udział w wyborach Miss to z pewnością głupia i zarozumiała paniuszka z

ładną buzią. W takim przekonaniu utwierdzają ludzi dziennikarze krytykując konkurs.

— Czy sama uroda wystarczy?

— Nie, bierze się pod uwagę figurę, sposób poruszania.

— Jak reagują twoi znajomi?

— Większość trzyma za mnie kciuki; żartują, że niedługo nie będę chciała z nimi rozmawiać. Są też tacy, jak mój kolega z klasy, który przestał odzywać się do mnie i mina daje do zrozumienia co myśli na ten temat. Na szczęście mój chłopak, Jacek, traktuje wszystko z humorem. Generalnie jednak stosunek do konkursu nie jest najcieplejszy. Dużo zależy od reklamy i nastawienia prasy. Swoją drogą dziwię się że tak mało kandydatek zgłosiło się w Łodzi, tyle pięknych dziewczyn widzi się na ulicach...

— Może brakło im odwagi?

— Możliwe.

— W jaki sposób rodzina dowiedziała się o twoim udziale w imprezie?

— Wróciłam do domu i powiedziała mamie i siostrze, że wybrano mnie do dziesiątki tych „naj”. Śmiały się dobre pół godziny. Tata dowiedział się dopiero następnego dnia, z gazety Skomentował to jednym zdaniem: „Jeszcze cię tam nie było”.

— Gdyby konkurs był zorganizowany na wzór zachodni i musiałabyś zaprezentować jakieś umiejętności, to...

— Stałabym na głowie.

— Jak przygotowujesz się do dalszego etapu wyborów?

— Wcale, uszyłam tylko nową sukienkę. Po egzaminach straciłam ochotę na udział w konkursie, ale może będzie to rodzaj rekompensaty za pierwsze poważne życiowe niepowodzenie...

— Rodzina nie dopinguje?

— Dopinguje. Mama przejmuję się teraz bardziej niż ja.

— Czego oczekujesz od konkursu?

— Niczego. To tylko zabawa, traktuję go z uśmiechem. Nie

liczę na sukces, rozgłos, ani, tym bardziej, korzyści materialne. Zrobiłam to dla siebie, dla własnej satysfakcji.

— Mówiłaś o egzaminach na AWF...

— Nie przyjęto mnie. Bardzo to przeżyłam. Po powrocie z Warszawy napisałam wiersz pt. „Smutek”. Tak, jestem romantyczką, ale wesolą.

— Jakie sporty uprawiasz?

— Pływanie i siatkówkę.

— Twój ulubiony typ urody?

— Włoski. Najbardziej podobają mi się Nastassja Kinski i włoska piosenkarka Alice.

— Idąc ulicą odczuwasz „ciężar popularności”?

— W Zgierzu (tam mieszkam) — tak. Ludzie oglądają się za mną, pokazują palcami. Zwykle w takich sytuacjach spuszczałam oczy i szybko biegnę do domu. Teraz lepiej czuję się w Łodzi, nikt mnie tu nie zna.

— Często podrywają cię na ulicy?

— Często, ale nie reaguję na to.

— Czym interesujesz się poza sportem?

— Filmem, tańcem, muzyką poważną. Najbardziej lubię „Cztery pory roku” Vivaldiego. Interesuje mnie też moda, ale bez przesady. Staram się sama szyc swoje „kreacje”.

— Planujesz najbliższą przyszłość?

— Chciałabym nareszcie wyjechać nad morze. Na razie czekam na nowy termin konkursu. Po wakacjach pójdę może do pracy, bo za rok znów spróbuję zdać na AWF.

— Życzę ci powodzenia w konkursie, a przede wszystkim spełnienia marzeń o studiach.

— Dziękuję, a co do konkursu, to cały czas traktuję go „na luzie”.

Od 26. 08. Bogusia jest „Miss Ziemi Łódzkiej”.

Rozmawiała:
BEATA WOJCIK

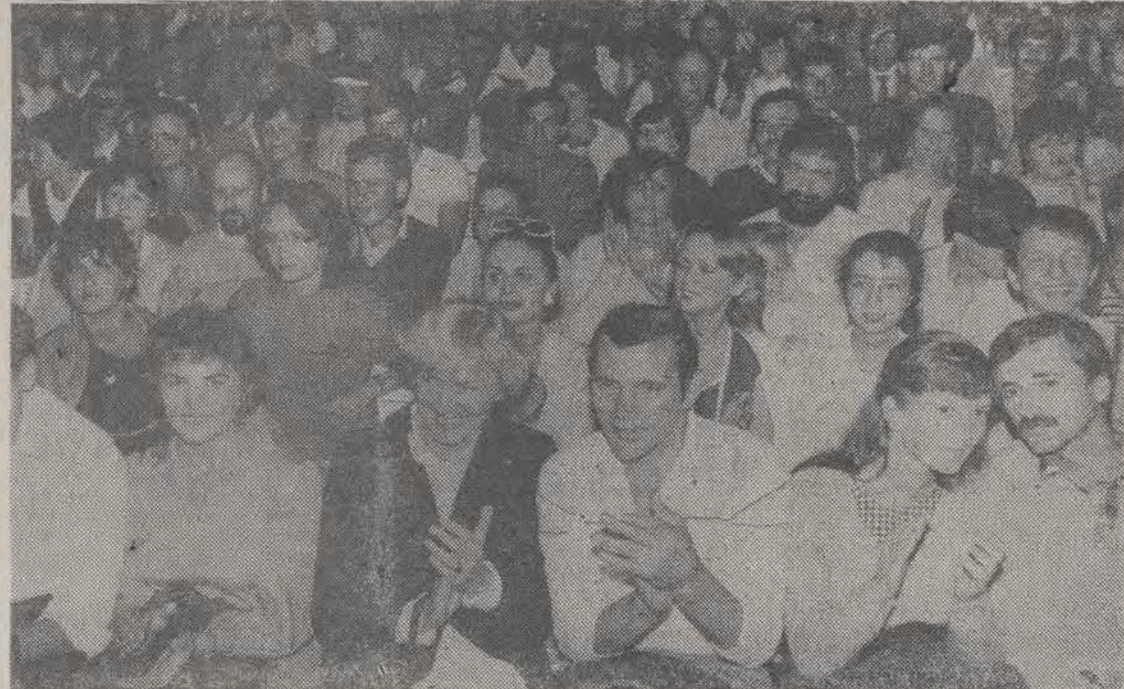
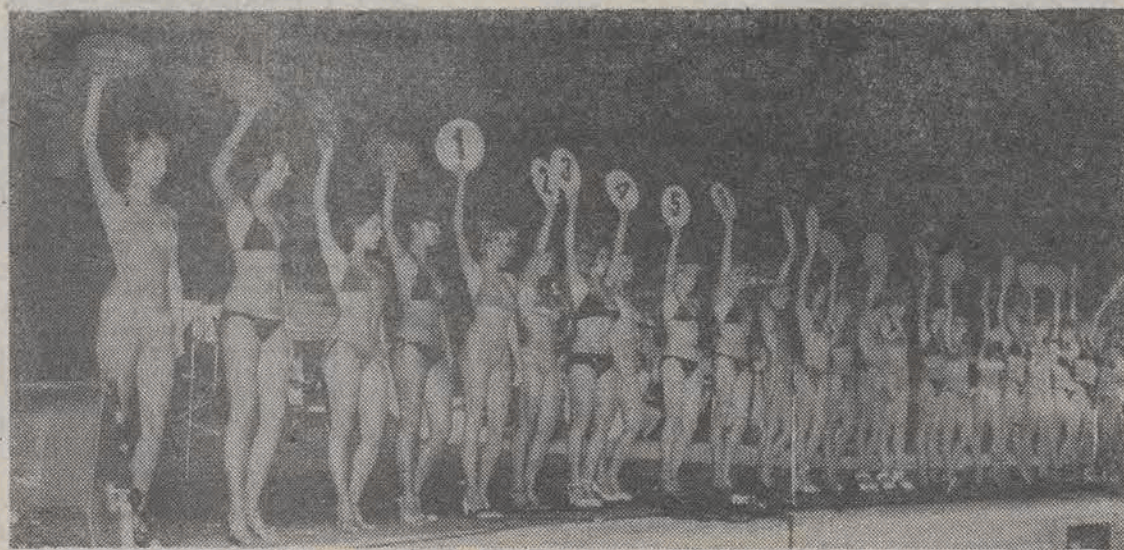


Foto: Janusz Kubik

Nie kochane dziecko

JERZY WITCZAK

We wrześniu br. mija dziesięć lat od wprowadzenia do polskiej szkoły przedmiotu o nazwie: „przysposobienie do życia w rodzinie”. Nie ma jednak powodów do radości z tej okazji. Smętny to bowiem i żenujący jubileusz. Sam jubilat też jakiś dziwny i zawstydzony, przypominający dzisiaj bardziej podrzutka, niż kochane dziecko naszej szkoły, zrodzone przed laty, jak się wydawało, z matry monocyklicznej i serdecznej troski o młode pokolenie. W roku 1973, przy samych narodzinach i chrzcie przedmiotu było jeszcze wiele społecznej radości i dumy, deto w fanfary, a rozpromienione działacze oświatowi głosili wszem i wobec, że szkoła musi przygotowywać przyszłych rodziców do ich funkcji rodzicielskich, wychowawczych i kształcących... Tak nowoczesnego działania i wychowawczych możliwości przedmiotu, który śmiało zaczynał raczkować, zazdrościli nam specjaliści z wielu krajów socjalistycznych i zachodnich. Puszylimy się, że w kraju nad Wisłą rodzi się szansa uporania się z jednym z najtrudniejszych problemów społecznych, jakim jest dla wszystkich państw świata przygotowanie młodych ludzi do dorosłego, dojrzałego życia. W naszej szkole prowadzony jest bowiem przedmiot „uczący jak żyć”.

Te ambicje, rozped, kompleksowe holubienie szkolnego bebniaminka trwały jednak w jawnym krótko. Praktycznie rozbiły się i zgasy. Moim zdaniem, to eksperymentalne i coraz bardziej kłopotliwe dziecko zaczęło „wylewać z kąpieli” już w 1977 r., a nawet wcześniej. Stopniowo, już bez

fanfar i bebnów, za to z użyciem i systematycznie „żenująca edukacja” opuszczająca wiele szkolnych murów, wymazywano ją po trochu z przyszłościowych programów oświatowo-wychowawczych, sztucznie podsycając wyłączenie w formalnych zapisach.

Dlaczego? Co się stało? Czyżby oznaczało to, że polska młodzież wie już jak żyć, bo nasze szkoły ją tego nauczyły przez kilka lat? A może dziecko przerosło możliwości rodziców, może w swojej pogoni za wiedzą i otwartą nareszcie możliwością artykułowania w różnych formach, stało się zbyt kłopotliwe? Bywa przecież w życiu, że nieodpowiedzialni rodzice pragną się uwolnić od problemów i kłopotów, wyrzekają się na przykład córki, która przed maturą zaszła w ciążę.

A przynajmniej trzeba, że PDZ (taki skrót nazwy przedmiotu zaczął szybko funkcjonować) stał się dla szkoły trudną laboratorią, która stanowiła w systemie lekcyjnej edukacji zupełnie nowym i to nie tylko w sferze treści. Także forma, a ściślej metodyka, była tu czymś zupełnie odmiennym. Bez stopni i całego belferskiego rytuału stał się przedmiot czymś wyjątkowym. Po raz pierwszy uczeń miał możliwość być podmiotem zajęć, po raz pierwszy też charakter lekcji odbierał nauczycielowi monopol na rację. Specyfika zajęć wymagała od prowadzącego je i specyficznych wiadomości, i wyjątkowych cech osobowościowych. Prowadzili więc PDZ nauczyciele wybrani, którzy zgłosili się na ochotnika. Później jednak (gdy ochotników szybko zaczęło brako-

wać), przydzielano przedmiot nauczycielom według ich wykształcenia (najczęściej humanistycznego), a nawet według stanu cywilnego. Najczęściej byli kawalerowie i panny, prowadzący zajęcia w ostateczności. Młodzież wówczas pisała: „Wreszcie pozwolono nam mówić o różnych sprawach bez zagrożenia dwójki, szkoda tylko, że nikt nie wie jak mówić, nauczyciele także...”

ŁATWO URODZIĆ — TRUDNIEJ WYCHOWAĆ

I w tym momencie zaczął się według mnie początek końca wspaniałego przedmiotu. Zbagatelizowanie przez szkołę (czy też nieumiejętność rozwiązania) problemu kadr fachowców, brak koncepcji kształcenia czy też dokształcania nauczycieli prowadzących PDZ, a przy tym brak poszukiwanych specjalistów, którzy mogliby w sposób istotny wesprzeć szkołę — „rozkładali” przedmiot przez wszystkie lata, a ostatnio wystąpił ze zdwojona siłą.

Szkola urodziła dorodny i piękny przedmiot (nie mylił z czymś innym), ale paradoksalnie zabierała się do jego wychowania, jakby zapominając, że to jest przecież sprawa najważniejsza. Z okazji jubileusza warto przypomnieć kilka takich lapsusów wychowawczych. Np. w 1976 r. Prezydium Rządu zaleciło „upowszechnić przedmiot przysposobienia do życia w rodzinie we wszystkich szko-

łach ponadpodstawowych dla młodzieży, zabezpieczyć do tego celu odpowiednie pomoce dydaktyczne dla młodzieży i nauczycieli, organizować planowe dokształcanie prowadzących ten przedmiot”. A co zrobiła szkoła?

W zaledwie rok później w wydanym „Programie 10-letniej szkoły średniej...” zabrakło już przedmiotu: „przysposobienie do życia w rodzinie”. Zastąpić go miały: środowisko społeczno-przyrodnicze i godzina do dyspozycji wychowawcy. Nigdy (tak naprawdę) nie dowiedzieliśmy się — nawet już po wycofaniu się z 10-latką — co spowodowało tę zmianę. Nie dziwie się jednak, że w tej sytuacji, wielostronicowe zapisy zadań resortu oświaty w zakresie pomocy dla PDZ, zawarte w „Programie i planie upowszechniania kultury pedagogicznej MOiW” — pozostały do dzisiaj wyłącznie na papierze. (Powtórnie pisałem do w/w programu, wydanego przez MOiW w 1978 r., szczególnie strony 33-43).

Patrząc z perspektywy lat, myślę, że u podstaw decyzji likwidowania przedmiotu w szkole 10-letniej leżała chęć rozwiązania najtrudniejszego dla szkoły problemu, jaki stanowiła właśnie osoba prowadząca te zajęcia. Przeniesienie głównego trzonu treści PDZ na „godziny wychowawcze” „rozwiązywało” tę kwestię, w perspektywie przedmiotu (właściwie chyba: programu) już obowiązkowego, automatycznie: wychowawca czyli każdy, w/wczas był o tyle szokujące, co nie sprzeczne ze wszystkim, co już po pierwszych latach eksperymentu wiadzano, co znalazło odbicie w publikacjach i działaniach chociażby Instytutu Badań nad Młodzieżą czy Towarzystwa Rozwoju Rodziny.

A były to sprawy niebagatelne. Np. jak wynikało z sondażu Instytutu uczniowie pytani o osobę, która powinna prowadzić przysposobienie, wskazywali głównie psychologa — 44% głosów, lekarza seksuologa — 30% głosów, pedagoga szkolnego — 12%. Nauczyciele proponowali natomiast pedagoga — 50% wskazań i psycholo-

ga — 10%. Istotne, że jedni i drudzy widzieli więc w tej roli osobę spoza grona nauczycielskiego. Wychowawca klasy uzyskał od uczniów jedynie 4,5% głosów, a u nauczycieli jeszcze mniej — zaledwie 3,5%. Towarzystwo Rozwoju Rodziny wielokrotnie zwracało uwagę na istotną rolę specjalistów z „zewnątrz” szkoły w realizacji zadań przedmiotu, szkolno-lektorskich własnych i zainteresowanych nauczycieli, organizowało dla nich punkty konsultacyjne w województwach. Dopinguowało resort oświaty, a także szkolnictwa wyższego, do wdrożenia w praktykę przygotowanych programów podopiecznego kształcenia nauczycieli dla wychowania seksualnego i przysposobienia do życia w rodzinie. Oferowało opracowanie podręcznika i materiałów dla nauczycieli (TRR nie posiada własnego papieru).

EKSPERYMENT BEZ SERCA

To wszystko na niewiele się zdało. Sam pomysł przedmiotu był dobry, ale jego realizacja zbyt często fasadowa. Potwierdziły to w pełni decyzje władz oświatowych odnośnie dalszych losów przedmiotu, podjęte w roku szkolnym 1981/82. Okazało się bowiem, że na te zajęcia w ogóle nie ma miejsca w siatce godzin i zagadnienia dotyczące przysposobienia do życia w rodzinie przeniesiono w skali rocznej na 19 godzin wychowawczych. A więc zwyciężyła fałszywa koncepcja, która zaczęła już kilkadziesiąt lat siedemdziesiątych.

Ułomność przedmiotu i jego wychowawców przykryto tylko kusym piaszczykiem kolejnego eksperymentu. Szkoda, że raczej nie pomyślano o solidnym leczeniu i intensywnej terapii całej rodziny, zamiast porozumiewać trochę o niekochane dziecko. Potwierdza się stara prawda, że dziecko niepożądane, które przyszło na świat wbrew

woli rodziców, rzadko cieszy się ich miłością.

Działacze Towarzystwa Rozwoju Rodziny obawiają się najgorszego: to wszystko może doprowadzić do zupełnego zniknięcia przedmiotu ze szkolnych ławek. Tradycyjny więc bocian będzie znowu przynosił dzieci do polskiej szkoły. Wszystko na to wskazuje. Obłędne kółko już się zamyka. W dalszym ciągu nie jest wyjaśniony status PDZ (jest przedmiotem autonomicznym, którego jednak nie ma w tygodniowym planie nauczania), nie wyjaśniona jest jego obowiązkowość (jest obowiązkowy, ale: „w wypadku braku nauczyciela-specjalisty Rada Pedagogiczna może zdecydować o niewprowadzaniu w szkole przejściowo przysposobienia do życia w rodzinie...”) itd. itd. Konia z rędem temu, co się w tym wszystkim poąpię. Indagowani nauczyciele i dyrektorzy szkół tylko machają ręką. W dalszym ciągu nie ma przecież żadnego szkolenia nauczycieli w tym względzie, podręczników i pomocy, faktycznego zainteresowania. Trwa dziwna uluda i oczekiwanie na komputerowe wyniki kolejnego eksperymentu. Czekać na komputerowe wyniki w tym czasie poświęć i odchowić już swoje dzieci według babinej receptury.

Bardzo mnie ciekawi co na ten temat powie obradująca jesienią plenium Rady ds. Rodziny (być może, z okazji tegoż jubileuszu), które ma dyskutować o problemach przygotowania polskiej młodzieży do życia w rodzinie.

Półki co, Towarzystwo Rozwoju Rodziny rozpoczęło pisanie podręcznika dla nauczycieli z zakresu wychowania seksualnego i problemów przygotowania młodzieży do życia małżeńskiego i rodzinnego. Może go wydać na papierze zaoszczędzonym z malunków „starszaków”, jakieś przeżne i futurologiczne przedszkole. Na szkole trudno już liczyć.

Waldek uczeszał do szkoły, której kierowniczką była jego matka. Któregoś dnia w czasie dużej przerwy zalała się ona przed gronem nauczycielskim:

— Mam kłopoty z chłopakiem...
— Coś takiego — zdziwiła się polonistka, wychowawczyni Waldka. — Przecież uczy się dobrze, jego zachowanie też...
— Zbikował na punkcie miłości do zwierząt. Zamęcza mnie całym dniami, żebym mu kupiła papugi, parę nierozłączek. Już nie mam sił. Poradźcie co robić?...

Nazajutrz dzień lekcyjny rozpoczął się od matematyki. Nauczyciel ledwo odpowiadał na przywitania uczniów, którzy odstali przepisowo trzy sekundy, i rzekł siadając przy katedrze:

— Przerobimy dziś zadanie na różne działania. Do tablicy podejdzie... podejdzie... Jaskiewicz!

— Tak jest, panie profesorze — Waldek podniósł się z ławki.
— Posłuchaj. Ktoś miał dwie papugi. Jedna papuga zjada codziennie pożywienia za 20 złotych i 64 grosze. Pierwsze pytanie: ile w ciągu 50 lat — papugi żyją bardzo długo — musi wydać na utrzymanie swych papug ich właściciel?

— Prosty rachunek, panie profesorze. Jeżeli jedna papuga przejada dziennie 20 złotych i 64 grosze, to dwie — 41 złotych i 28 groszy. Poróżmy to przez 365... Piętnaście tysięcy sześćdziesiąt siedem i 20 groszy. Teraz przez 50 lat... Zaraz... Siedemset pięćdziesiąt trzy tysiące trzysta sześćdziesiąt złotych.

Nauczyciel przeszedł się kilka kroków.

— Siedemset pięćdziesiąt trzy tysiące złotych. Nowy Fiat 125 albo i kilka urlopów za granicą z całą rodziną... Ale czy tylko tyle, Jaskiewicz, będzie musiał wydać w ciągu pięćdziesięciu lat właściciel papug na ich utrzymanie?

— Mogę sprawdzić obliczenia.

— Bzdura! Zasadniczy błąd w założeniu. Nie rozumiesz, że jak są dwie papugi, to jedna będzie składać jaja, a z tych jaj wyłęgną się nowe papugi, które też złożą jaja, z których znowu się coś wyłęgnie? Postęp algebraiczny! A każda papuga będzie chciała żreć. Ile to pochłonie dodatkowych pieniędzy? Na jedzenie? Na klatki?

— Chwileczkę, panie profesorze... muszę się skupić.

— O to chodzi, Jaskiewicz. Zanim kupisz, trzeba się skupić. Jeżeli nie potrafisz pojąć tak prostej sprawy, wykluczone, żebyś odpowiadał na drugie pytanie: jaki procent ze swych zarobków wyda po 20 latach na utrzymanie papug ich właściciel, zarabiający 8.600 złotych miesięcznie brutto. I na trzecie: po ilu latach papugi zjedzą całą pensję swego właściciela wraz z nim i jego dobytkiem. Siadaj, Jaskiewicz. Dwoja.

Następnie była lekcja rosyjskiego. Nauczycielka rozłożyła przed sobą dziennik i utkwiała wzrok gdzieś pod sufitem.

— Tematem naszej dzisiejszej lekcji będzie papuga.

— Papugę już przerabialiśmy na matematyce — mruknął Cebula, figurujący w dzienniku pod literą „k” — Kasperczak Jan.

— Eto nie mieszajcie, Kasperczak. Zgłębiać lepiej temat. To jest tak nazywamyj system kompleksowego obuczenia. A więc: papuga po rosyjsku nazywa się papugaj. Pisz się popugaj, ale „o” wymawiamy jak „a”. Pa-pu-gaj... Nu-ka, Jaskiewicz, idź suda.

Waldek z pewną miną pomaszerał do tablicy. Rosyjski miał dobrze opanowany.

— Przetłumacz mi następujące zdanie: papugi roznoszą różne choroby.

— Papugaj... roznoszą różne choroby.

— Prawilno. Papugi roznoszą różne choroby. Niedawno w Anglii matka kupiła swojej córce papugę, od której zaraziła się nieuleczalną chorobą. Przelóż to na rosyjski, Jaskiewicz.

— Niedawno adna mał w Anglii... kupiła swąj doczkie papugaj... ot katorowo zabolieła niezleczimój boleznij...
— Nieszczęsnaż zenszczina... — westchnęła nauczycielka. — A jak byś się spytał tej dziewczynki o zdrowie jej matki? Przecież masz współczujące serduszko...
Klasa zarechotała.

— Jak bym się spytał? Ha!... ha! du, du, twoju mał!

— Co ty pieciesz? Przecież to po angielsku.

Papugi

— A jak mam się zwracać do angielskiej dziewczyny? Po chińsku?
— Nie dość, że nic nie umiesz, jeszcze jesteś arogancki. Za karę przepisziesz sto razy: papugaj eto samoje wrednoje sotworenije. Sadiś!

— Papugaj, papugaj, aptat! dwojka, ajajajaj! — zapiszczał Cebula, który lubił rymować.

Nauczyciel gimnastyki nie wymyślił nic z kompleksowego nauczania i w zasadzie 45 minut przeszło bez wstrząsu, nie licząc guza, jakiego roztrzęsiony Waldek nablił sobie skacząc przez ko-



Rys. Janusz Szymański-Glanc

nia. Widok polonistki uspokoił go. Wychowawczyni jak zwykle uśmiechała się przyjaźnie do klasy.

— Zajmiemy się dziś orzeczeniem czasownikowym i imiennym. Może ty podejdiesz do tablicy — skinęła głową do Waldka — a wy wszyscy uważajcie, bo to nowy temat. A więc: orzeczenia jest częścią zdania, z pomocą której wypowiadamy pewną informację o podmiocie, to znaczy określamy czynność, którą wykonuje podmiot lub określamy stan, w którym się on znajduje. Na przykład: papuga skrzeczy; Powtórz, Waldek.

— Papuga... skrzeczy.

— Tak jest, skrzeczy. Orzeczenie jest tu wyrażone wyłącznie czasownikiem — skrzeczy. Takie orzeczenie nazywa się orzeczeniem czasownikowym. Może to być inne orzeczenie. Na przykład: papuga jest obrzydliwa. To „jest” służy do wypowiedzenia drugiego wyrazu wchodzącego w skład orzeczenia. Jasne, Waldek?

— Tak.

— A więc w skład orzeczenia wchodzi tu nie tylko czasownik „jest”, ale i drugi wyraz — „obrzydliwa”. Takie orzeczenie nazywa się orzeczeniem imiennym, zasadniczą częścią orzeczenia imiennego nazywa się orzecznikiem, a czasownik spełniający rolę pomocniczą — łącznikiem. Powtórz, Waldek.

— Papuga... jest łącznikiem.

— Co się z tobą dzieje, chłopcze? Skup się. Co ja powiedziałam o orzeczeniu czasownikowym i imiennym?

— Ze orzeczenia jest... częścią papugi. Pani profesor, ja nie mogę tego wszystkiego od razu zapamiętać!

— Ale o innych rzeczach pamiętasz. Niedobrze, Waldek. Słyszałam, żeś załapał dziś już dwie dwójki z matematyki i rosyjskiego. Teraz trzećcia. Jako twoja wychowawczyni muszę porozmawiać z matką.

Minął jakiś czas. Waldek przestał się upominać o papugi. Jego matka odetchnęła. Nie miała słów wdzięczności dla ciała pedagogicznego za okazaną pomoc. Nastąpił pogodny dzień, wypełniony bogim zadowoleniem matki z syna, który znowu przynosił dobre stopnie.

Któregoś dnia matka Waldka dłużej niż zazwyczaj dzwoniła do drzwi mieszkania. Wreszcie klucz zagrzęzł w zamku.

— Dobry wieczór, Waldus. Aleś się nalatał! Jadesz coś?

— Tak. Jola pomogła mi sprząsnąć obiad. To moja koleżanka. Jola, przedstaw się matce!

Do korytarza weszła rośła dziewczyna, kołysząc się w biodrach.

— Jola jestem — dygnęła.

— Ba... bardzo mi miło. Czemu masz takie wypieki na twarzy, Waldus? Tak gorąco w mieszkaniu, żeś się porozpinał?

— E, nie, tylko guziki się poobrywały. Wiesz, mam, jestem ci bardzo wdzięczny, żeś mi wtedy wybiła z głowy te papugi.

— Cieszę się, synku.

— Papugi tylko w kółko plotłyby to samo. A Jola śpiewa.

— La-la-lal — zanuciła dziewczyna.

— Jola śpiewa. Orzeczenie jest tu wyrażone wyłącznie czasownikiem „śpiewa”.

— Waldek...
— Jola jest fajna. To „jest”, mam, służy do wypowiedzenia drugiego wyrazu wchodzącego w skład orzeczenia — „fajna”.

— Waldek!

— Widzisz, mam, jak twój syn się wykui? Mam, niech Jola zostanie z nami. Będziemy jak te papuki nierozłączki. Klatki dla niej nie trzeba. Zmieścimy się w dwójkę na jednym tapczanie!

ADAM OCHOCKI

Z tomiku satyrycznego „To ci kwiatki”, który już niebawem ukaże się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego.

Od stacji Park Street linie metra rozbiegają się we wszystkie strony tworząc skomplikowaną i pomysłowo splecioną sieć.

Boczna odnoga łączyła linię Lechmere z Ashmont, dla pociągów kierujących się na południe i z linią Forest Hills, dla kierujących się na północ. Linie Harvard i Brookline połączone były tunelem, który głęboko pod ziemią krzyżował się z Kenmore i podczas godzin szczytu, co drugi powrotny pociąg do stacji Egleston kierowany był przez odgałęzienie Kenmore. Boczna odnoga Kenmore łączyła się z tunelem Maverick w pobliżu Fields Corner. Następnie pociąg się ona o sto stóp w górę, by połączyć nazwaną linię Copley z Scollay Square, po czym znowu dawała nura pod ziemię, by w Boylston dołączyć do linii Cambridge. Węzeł Boylston łączył zaś w jedną całość siedem głównych linii, biegnących na czterech różnych poziomach. Wszedł on do użytku, jak pamiętacie, 3 marca. Od tej pory pociąg z każdej stacji mógł podróżować do dowolnej innej stacji sieci.

Dwieście dwadzieścia siedem pociągów przemierzało w każdy powszedni dzień linie metra, przewożąc około półtora miliona pasażerów. Pociąg Cambridge-Dorchester, który zniknął 4 marca posiadał numer 86. Z początku nikt nie zauważył jego zniknięcia. Podczas wieczornego szczytu ruch na tej linii był nieco większy niż zwykle. Rozlepiące plakaty z parku maszynowego Forest Hills wypatrywali numeru 86 około godziny 7.30, ale żaden z nich, przez trzy dni, nie wspominał o tym, że numer 86 nie pojawił się. Kontroler ze stacji Milk Street Cross-Over zadzwonił do dyżurnego po dodatkowy pociąg po meczu hokejowym, który odbywał się tego wieczoru, a dyżurny ze stacji Harvard przekazał wiadomość do parku maszynowego. Tamtejszy dyspozytor wysłał numer 87, który zjechał o 22.00, jak zwykle. Nie zauważył jednak, że numer 86 zniknął. Podczas szczytu przewozowego, następnego dnia rano, Jack O'Brien z dyspozytorni stacji Park Street zadzwonił do Warrena Sweeney'a z parku maszynowego stacji Forest Hills i kazał mu wysłać dodatkowy pociąg na linię Cambridge. Sweeney lubił załatwiać wszystko od ręki, podszedł więc do tablicy i zlustrował ją w poszukiwaniu wolnego składu i znalazł. Wtedy właśnie, po raz pierwszy, zauważył, że Gallagher nie wpisał się na listę obecności poprzedniego wieczoru. Powiesił kartę i docepił do niej notatkę. Gallagher miał rozpocząć pracę o dziesiątej trzydziestu. O dziesiątej trzydziestu Sweeney znowu znalazł się przy tablicy i zauważył, że karta i notatka wciąż są tam, gdzie je zostawił. Pogodził do kontrolera i zapytał, czy Gallagher przyszedł do pracy z opóźnieniem. Kontroler odpowiedział, że w ogóle nie widział Gallaghera tego ranka. Wtedy Sweeney zaprzęgnął wiedzieć, kto kierował numerem 86. W kilka minut później zauważył, że karta Dorkina była nadal w swym miejscu, choć był to jego wolny dzień. O 11.30 uświadomił sobie w końcu, że zginął mu pociąg.

Następne półtorej godziny Sweeney spędził przy telefonie, wywołując pociąg każdego dyspozytora, kontrolera i dyżurnego w systemie. Kiedy o 1.30 skończył lunch, znowu obdzwonił całą sieć. O 4.40, tuż przed końcem zmiany, przekazał informację o wszystkim do zarządu ruchu. Prawie do północy dzwoniły telefony w tunelach, nim w końcu powiadomiono o wszystkim, znajdującym się w domu, dyrektora generalnego. Późnym rankiem 6 marca, technik z głównej dyspozytorni po raz pierwszy skolarzył zaginięcie pociągu z nagłą epidemią zniknięcia ludzi. Udzielił o tym poufnej informacji gazetce "Transcript" i pod koniec pory obiadowej trzy gazety miały na ulicach nadzwyczajny dodatek. W taki oto sposób historia ta stała się znana.

Kelvin Whyte, generalny dyrektor, spędził większą część tego popołudnia z policją. Przesłuchano żony Gallaghera i Dorkina. Motornicy i kon-

duktor nie byli w domu od ranka 4 marca. W połowie popołudnia stało się dla policji rzeczą jasną, że mniej więcej trzystu pięćdziesięciu bostończyków zaginęło gdzieś wraz z pociągiem. Sieć zamknęto, a Whyte o mało nie wyzionął ducha z goryczy. Pociągu jednak nie odnaleziono.

Roger Tupelo, matematyk z Harvardu, pojawił się na scenie wieczorem 6 marca. Dopadł Whyte'a telefonicznie późnym wieczorem w domu i powiedział mu, że ma pewne domysły dotyczące zaginięcia pociągu. Następnie pojechał do domu Whyte'a w Newton i odbył z nim pierwszą z wielu rozmów na temat numeru 86.

Whyte był mężczyzną inteligentnym, dobrym organizato-

A. J. DEUTSCH

Metro Möbiusa

rem i człowiekiem nie pozwalającym wyobrazić.

— Nie mam pojęcia o czym pan mówi! — mruknął. Tupelo musiał być cierpliwym.

— To trudno zrozumieć każdemu, mister Whyte — powiedział — rozumiem więc pańskie zakłopotanie. Ale to jedyny wytłumaczenie. Zniknął pociąg wraz ze znajdującymi się w nim ludźmi. A system jest zamknięty i pociągi zabezpieczone. Zatem jest on gdzieś w systemie.

Whyte znowu podniósł głos. — A ja panu mówię, doktorze Tupelo, że pociągu nie ma w systemie! Nie ma! Nie można przeczyć, złożonego z siedmiu wagonów, składu z czterystoma pasażerami. System został przeczesany. Czy sądzi pan, że usiłuję ukryć ten pociąg?

— Oczywiście, że nie. Rozważmy. Wiemy, że pociąg wyruszył do stacji Cambridge o 8.40, rankiem 4 marca. Co najmniej dwudziestu zaginionych wsiadło do pociągu kilka minut wcześniej przy Washington, a kolejnych czterdziestu na stacji Park Street Under. Paru wysiadło na obu stacjach. I to wszystko. Pasażerowie udający się do stacji Kendall, Central i Harvard nigdy tam nie dotarli. Pociąg nie dojechał do Cambridge.

— Wiem, wiem doktorze — powiedział Whyte ze złością. — W tunelu pod rzeką zamienił się w łoż, opuścił tunel i poślizgnął do Afryki.

— Nie, mister Whyte. Przez cały czas usiłuję panu wytłumaczyć: on dotarł do...

Whyte był wściekły.

— Jaki znowu węzeł — wybuchnął. — Dyrekcja systemu utrzymuje tory w czystości. Nie ma na nich niczego, prócz pociągów, żadne węzły nie wala się w pobliżu...

— Pan wciąż nie rozumie. Węzeł to nie przeszkoda na trasie. To osobliwość. Biegun wysokiego porządku.

Wyjaśnienia Tupelo dał Whyte'owi niewiele. O drugiej nad ranem generalny dyrektor zgodził się jednak udostępnić doktorowi Tupelo mapy systemu. Doktor zadzwonił najpierw na policję, która nie była w stanie pomóc mu w jego pierwszej, nieudanej próbie podciągnięcia się w topologii, a następnie do zarządu ruchu. Tupelo pojechał tam taksówką i śledził nad mapami aż do rana. Następnie na-

lutnie unikalnego. Nie w pełni to rozumiem, ale rzecz przedstawia się chyba tak: linia podniosła łączność całego systemu na tak wysoki poziom, że doprawdy nie wiem, w jaki sposób ją obliczyć. Po-dejrzewam, iż łączność ta stała się nieskończona!

Generalny dyrektor słyszał słowa Tupelo, jak przez sen. Przez cały czas wpatrywał się w małą butelkę Kleina.

— Wstęga Möbiusa — powiedział Tupelo — zawdzięcza swe niezwykle właściwości temu, iż posiada tylko jedną stronę. Butelka Kleina z punktu widzenia topologii jest bardziej skomplikowana, ponieważ jest zamknięta. Topology znają powierzchnie jeszcze bardziej skomplikowane, o tysiącach stron, powierzchnie, przy których tak wstęga Möbiusa, jak i butelka Kleina stanowią dziecinna zabawkę. Sieć o nieskończonej łączności musi posiadać nieskończoną liczbę stron. Wyobraź pan sobie, jakie mogą być właściwości tej sieci?

Po długiej pauzie Tupelo dodał: — Ja też sobie tego nie wyobrażam. Prawdę mówiąc struktura systemu z linią Boylston jest dla mnie kompletnie niezrozumiała. Oferuję się wyłącznie na domysłach.

Whyte podniósł oczy znad biurka. Był zły.

— I pan nazywa siebie matematykiem, profesorem Tupelo! — powiedział.

Tupelo o mało nie roześmiał się w głos, bowiem nagle, niezwykle ostro dotarły do niego bezsens i absolutny idiotyzm sytuacji. Uśmiechnął się słabo:

— Nie jestem topologiem. Naprawdę, panie Whyte. W tej dyscyplinie orientuję się niewiele lepiej niż pan. Matematyka to obszerna dyscyplina wiedzy. Ja jestem algebraistą.

Szczerze Tupelo udobruchał Whyte'a.

— No cóż — powiedział — skoro się pan na tym nie zna, może powinniśmy zaprosić do współpracy topologa. Jest jakiś w Bostonie?

— I tak i nie — odpowiedział Tupelo. — Najlepszy na świecie jest w Tech.

Whyte sięgnął po słuchawkę.

— Jak się nazywa? — zapytał. — Zadzwonił do niego. — Merritt Turnbull, ale nie można go złapać. Próbowałem przez trzy dni.

— Wyjechał z miasta? — zapytał Whyte. — Natychmiast posłamy po niego.

— Nie wiem. Profesor Turnbull jest kawalerem. Mieszka samotnie w Brattle Club. Nie widziano go tam od ranka 4 marca.

Whyte był nadzwyczaj domyślny.

— Był w pociągu? — zapytał z napięciem.

— Nie wiem — odpowiedział matematyk. — A jak pan sądzi?

Zapanowało długie milczenie. Whyte spoglądał kolejno to na Tupelo, to na szklany przedmiot na biurku.

— Nie rozumiem tego — powiedział w końcu. — Przeszukaliśmy cały system. Nie ma możliwości, by pociąg wy dostał się z niego.

— Skład nie wy dostał się z niego. On jest wciąż w systemie — odparł Tupelo.

— Gdzie?

Tupelo wzruszył ramionami. — Dla pociągu nie istnieje „gdzie”. Cały system jest poza realnym „gdzieś”. Jest dwuwymiarowy, albo jeszcze gorzej.

— W jaki sposób możemy go odnaleźć?

— Nie sądzę, byśmy mogli go odnaleźć — powiedział Tupelo.

Znowu zapanowała cisza. Przerwał ją Whyte głośnym przekleństwem. Wstał gwałtownie i zmiótł z biurka butelkę Kleina.

— Pan jest szalony, profesorze! — wrzasnął. — Między północą a szóstą rano, dnia jutrzejszego, usuniemy z tuneli wszystkie pociągi. Wyślij do nich trzystu ludzi, by przeczesali każdy cal torów, każda ze stu osiemdziesięciu trzech mil! Znajdziemy ten pociąg! A teraz, proszę mi wybaczyć... — spojrzął na Tupelo.

cdn.

Przekład:

MICHAŁ

SIWIEC

Fantastyka w cieniu Lema

JANUSZ WOJDECKI

Skąd się wzięła i w jaki sposób powstała? Kusi mnie, by zacząć: „Już starożytni Rzymianie...” Otóż, właśnie nie. Nie starożytni Grecy ani Rzymianie. Powie ktoś, że już w „Iliadzie” znajdują się wzmianki o mechanicznych ludziach przeznaczonych do wykonywania różnych prac. Zgoda, ale to nie dowodzi, że „Iliada” jest dziełem fantastyczno-naukowym. Po prostu, pewne marzenia ludzkości są stare jak sama ludzkość. Nie pierwsza fantastyka próbuje je zaspokoić.

Ale skąd się wzięła? Czy z osiemnastowiecznej przypowieści filozoficznej? Z dziewiętnastowiecznej, romantycznej powieści grozy? Czy też może z dziewiętnastowiecznych zachwyty nad możliwościami ludzkiej techniki pozytywisty — Julesa Verne? Nie, i jeszcze raz nie! Fantastyka naukowa nieraz czerpała i będzie czerpać z tych źródeł, ale z całą pewnością jej ojcem jest angielski pisarz, Herbert George Wells. Dlaczego Wells, a nie Verne? Dlatego, że chodził nam o fantastykę naukową. Taki rodzaj pisarstwa, który wykorzystuje choć w części zdobycze nauki. Tak czynił Wells, który przed napisaniem chociażby „Wielkiego czasu” zapoznał się z teoriami obowiązującymi we współczesnej mu fizyce. Natomiast co do Julesa Verne, to był on zbyt często w stosunku do nauki nonszalancki. Wie o tym każdy, kto jako dziecko próbował wyprodukować bawełnę strzelniczą według receptury opisanej w „Tajemniczej wyspie”. Jego pomysły — choćby owa armata do wystrzelenia pocisku z załoga na Księżyc, czy łoż podwodna na baterie — już wówczas dowodziły większej wyobraźni, niż wiedzy technicznej. Natomiast Wells... Cóż, Wells zdaje się twórczości fantastycznej nieco się wstydił. Zyskawszy dzięki niej popularność, oddał się pisaniu powieści tzw. poważnych. Powieści te cieszyły się swego czasu dużą popularnością — dzisiaj są właściwie zapomniane.

Jednak nie w Anglii powstała science fiction. Jej kolebka, podobnie jak większości wytworów kultury masowej, są Stany Zjednoczone. Tam, w latach 30-40, dzisiaj przez miłośników gatunku nazywanych Złotym Wiekiem, science fiction zyskała swą ogromną popularność. Na rynek czasopiśmienniczy weszły specjalistyczne magazyny jak „Astounding” czy „Amazing Stories”, które wyłansowały prawie wszystkich dzisiejszych klasyków. Przy czym był to typ fantastyki dość jeszcze prymitywnej, obracający się w kręgu nauk fizycznych i technicznych. Podróż międzyplanetarna, podróże w czasie, inwazje z innych planet... Była to zdrowa, radosna zabawa, zupełnie nie skażona myśleniem przez to niewinna.

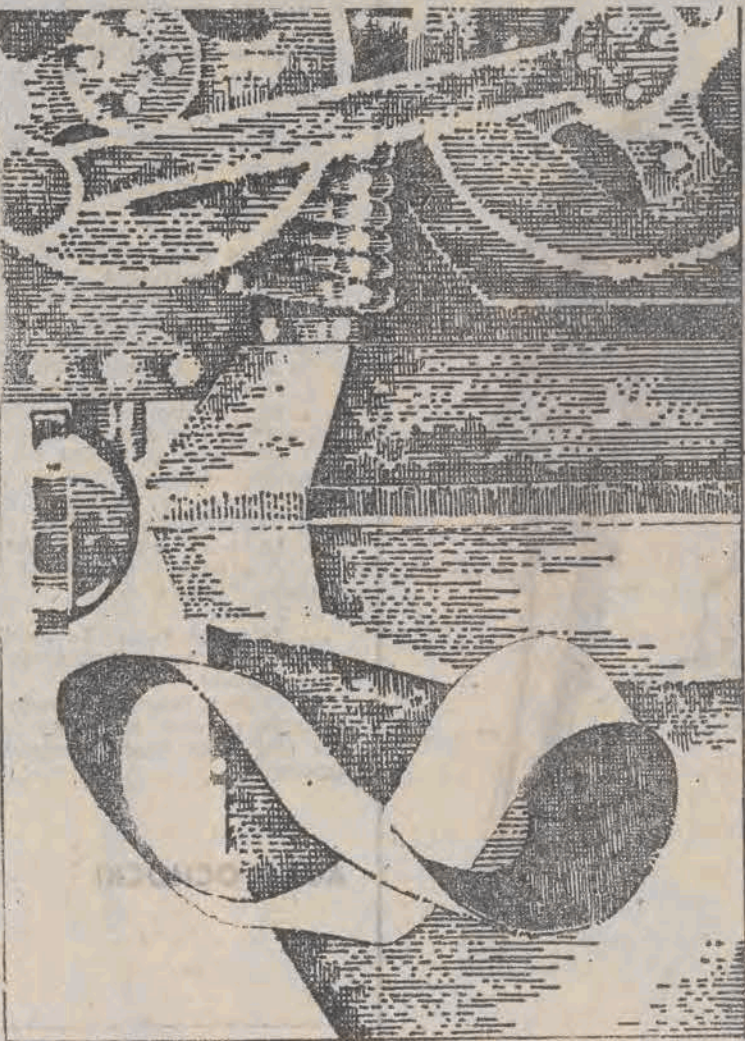
Ten stereotyp zaczął się przelamywać w latach pięćdziesiątych. Przede wszystkim pisarze zorientowali się, że mogą z powodzeniem wykorzystywać zdobycze innych nauk. Do fantastyki wkroczyła biologia, psychologia, socjologia, medycyna. Ale i to poszerzenie możliwości gatunku nie wystarczyło na długo. Już w następnej dekadzie literatura science fiction doszła do kresu swoich możliwości w swym tradycyjnym kształcie. Potrzebny był przewrót, przewartościowanie pojęć. Tak się też stało. Pisarze doszli do wniosku, że gatunek osiągnął dojrzałość i zbędne jest podpieranie się jakiegokolwiek rodzaju nauki. Toteż naukę porzucono lub ograniczono do roli sztafetu. Na warsztat wzięto człowieka wraz ze wszystkimi jego problemami i wszystkimi formami aktywności. Wszelka tematyka stała się dozwolona: egzystencjalna, społeczna, polityczna. Od tej pory fantastyka naukowa stała się równoważna innym rodzajom literatury. Oczywiście mówię o szczytach gatunku fantastycznego; o twórczości Philipa Dicka, Kurta Vonneguta, Jamesa Ballarda, a z naszych Stanisława Lema. Dalej bowiem istnieje fantastyka młodzieżowa, fantastyka o formule powieści przygodowej i ma się bardzo dobrze.

Czymś niewątpliwie najbardziej zdumiewającym jest światowa kariera Stanisława Lema. Zwalczana na tle schematu rozwoju fantastyki naukowej, który ośmielił się szkicować. Ow, „młodo” to możemy powiedzieć, najlepszy pisarz science fiction na świecie, zmuszony był zaczynać od zera. Przed nim nie było nikogo. Polska nie miała tradycji fantastyczno-naukowej. Owszem, byli jednostki: Stefan Grabiński, utalentowany Jerzy Żulawski. Nawet Antoni Słonimski, o czym mało kto wie, idąc w ślady swego duchowego mistrza Herberta George'a Wellsa, napisał powieść fantastyczno-naukową, Niemniej w masie fantastyki jako taka nie istniała. Lem musiał sam przejść wszystkie szczeble wtajemniczenia: od prymitywnej fantastyki technologicznej do ostatnich powieści filozoficznych. Ten przyspieszony rozwój tłumaczy pewne słabości jego dzieła. Bo start miał przecież ciężki: „Astronauta”, „Obłok Magellana”. Aż się wierzyc nie chce, że autor tych ciężkostrawnych powieści zdystansował całą czołwówkę światową. Wydawany w setkach tysięcy egzemplarzy na całym świecie, jest niewątpliwie najpopularniejszym polskim pisarzem na Zachodzie.

A jak wpłynął Stanisław Lem na polską fantastykę? Myślę, że podobnie jak Bergman na szwedzkich filmowców. Dał młodszemu autorom punkt oparcia, wskazał drogę, po której winien się poruszać ambitny twórca. Jednocześnie podniósł poprzeczkę. Każdy polski pisarz fantastyczny chce nie chce musi przysięgnąć swoją twórczość do dzieła Stanisława Lema. Nie muszą dodawać, że porównania te zwykle wypadają błado i wpływają na pisarzy paraliżująco. Z jednej strony dają Lem przykład do naśladowania. Z drugiej strony wiadomo, że każda próba naśladownictwa musi skończyć się porażką. Książka napisana „pod Lema” zawsze będzie kopia gorsza od oryginału. Jedynym wyjściem z tej sytuacji artystycznego pata jest pisanie „przeciw Lemowi”. Wielu lat było potrzeba, by poszli tą drogą młodszy pisarze, jak Snerg-Włósniewski, Żwikiewicz, Oramus, Parowski, Knepkowski, Zajdel.

Pocieszmy się, że Lem wywiera swój potężny wpływ nie tylko u nas. Ta sama sytuacja jest w Związku Radzieckim, NRD, wszystkich krajach bloku socjalistycznego, gdzie obecność Lema znacząca się już od ponad dwudziestu lat.

Wszystko, co powiedziałem przed chwilą, wyda się zapewne działwactwem komuś, kto nie lubi i nie czyta literatury fantastycznej. Są tacy, co na równi z kryminalami i „tverysami” wskazują fantastykę naukową miejsce na śmietniku. Ale nawet przeciwnicy przyznają, że nie jest działwactwem fakt, że miesiecznie „Fantastyka” rozchodzi się w 150 tysiącach egzemplarzy. Przy tym ani dnia nie poleży w kioskach. Większość książek science fiction w ogóle nie pojawia się na ładach, rozdzielona pomiędzy krewnych i znajomych pań sprzedawczyń. Fantastyka naukowa w naszym kraju rozwija się dzięki olbrzymiej „grupie nacisku” — niezliczonej rzeszy fanów. Przy czym warto zauważyć, że grupa ta, nie dość, że liczna, składa się z osobników o bardzo dużej sile precyzji. Fantastykę czytają przeważnie robotnicy przemysłowi, technicy i inżynierowie, młodzi i w średnim wieku. Natomiast niestanowiąca jest przede wszystkim kobietom i tzw. humanistom. Państwu pozostawiam do rozstrzygnięcia, która z tych grup jest silniejsza. Ja w każdym razie stawiam na tych pierwszych.



Rys. Krzysztof Wieczorek

Czarna wdowa

(1)

BRONISŁAWA CZERNIOGRADZKA

Ten dzień był przełomowy i najważniejszy w moim życiu. Byłam na pierwszym roku studiów, miałam dziewiętnaście lat, wynajmowałam mieszkanie u pewnej wdowy na Pradze, była gdzieś może dziewiąta lub dziesiąta rano. Nie poszłam na zajęcia, bo miałam straszliwego kaca. Leżałam w łóżku i namyślałam się, czy włożyć pantofle, żeby iść do mleka, ale nie do kuchni i nie do spółdzielni, tylko na klatkę schodową. Nie włożyłam pantofli, otworzyłam drzwi wejściowe i nasłuchiwałam. U sąsiadów mleko już było ściągnięte, więc pobiegłam na palcach, bosą, w samej tylko nocnej koszuli, na pierwsze piętro i podwędziłam butelkę pewnemu renciście, który wysypiał się zawsze do południa. Nie krądział systematycznie, najwyżej dwa — trzy razy w miesiącu i zawsze spod innych drzwi, więc poszkodowani nie podejrzewali nikogo z lokatorów, tylko mleczarza i pisali na niego skargi.

Moja wdowa też niczego nie podejrzewała, bo rano wychodziła do pracy, miała stragan z ciuchami na bazarze Różyc'ego. Była okropnie skąpa, wszystkie szafy i szuflady zamykała na klucz, jak jej czasem odebrałam trochę masła czy chleba, od razu to miała wyprzeżyć. Robiła mi wtedy straszne awantury i groziła, że wyrzuci mnie na zbity pysk.

Odgrzałam mleko i wypilałam cały litr duszkiem, a potem starannie wymyłam garnek. Z tymi butelkami, które krądział sąsiadom, to miałam taką technikę, że nigdy nie zostawiałam ich w domu, lecz wkładałam do zapinanej na ekspres torby i wyrzucałam gdzieś po drodze. Tego dnia jednak włożyłam do torby nie tylko butelkę, ale również dwa moje ulubione sweterki, które postanowiłam sprzedać, żeby dociągnąć jakoś do pierwszego, kiedy otrzymywałam parę groszy z domu pod Białymostkiem i stypendium. Nie miałam już naprawdę nie tylko na śniadanie czy obiad, ale nawet na tramwaj.

Te sweterki, to już przedtem próbowałam sprzedać swoim koleżankom z roku, ponieważ jednak żadna nie chciała ich kupić, poszłam z nimi na ten sam bazar, gdzie handlowała moja wdowa. Ustawiliam się z boku, żeby starucha nie mogła mnie dojrzeć i modliłam się w duchu, żeby nie hapanożył się przypadkiem któryś z moich znajomych, aż tu nagle podeszło do mnie dwóch przystojnych, trzydziestoletnich facetów i jeden z nich zapytał o cenę. Wymieniłam cenę bardzo niską, bo dajże pięćset złotych za obydwie sweterki. Wtedy jeden z nich powiedział, że jak pójdę zabawić się z nimi do domu to dadzą mi dwa razy tyle, czyli tysiąc złotych...

No i poszłam. Spiałam się na pusty żołądek, no i stało się to wszystko, co miało się stać. Cała sprawa nie polegała na tym, że się puściłam, i to z ówmi, tylko na tym, że wzięłam te tysiąc złotych. Gdybym potraktowała całą sprawę ryzykownie i wyszła bez pieniędzy, nie zostałaby we mnie żadna skaza, po paru dniach zapomnielibym o wszystkim i koniec. A tak, to skaza została. Nie przyznałam się facetom, że mieszkam w Warszawie i że studiuję podałam im lipny adres w Lublinie i nie spotkałam już żadnego z nich nigdy w życiu. Wróciłam do swojego chłopaka, który w noc poprzedzającą moją pierwszą prostytutkę poszedł do łóżka z moją najbliższą koleżanką.

Potem żyłam z innymi chłopakami, a później z jednym młodym aktorem w którym byłam okropnie zakochana. Latem wziął mnie z sobą na Wybrzeże, jeździliśmy od miasteczka do miasteczka z chalturami, taka składanka estradowa, pół legalna, pół zawodowa, pół studencka. Trochę muzyki, trochę ośsenek i trochę kabaretu. Zatrzymywaliśmy się w hotelach i kwaterek prywatnych. Nie raz były to pokoje dwuosobowe, nieraz dziesięć osób spało w jednym pomieszczeniu na łóżkach i na podłodze. Było cudownie, ale ciągle brakowało nam pieniędzy, bo wszystko to, co udało nam się zarobić puszczaliśmy momentalnie na wino i wódkę. Pewnego dnia w Miedzynach obudziłam się rano bez grosza, nie było nawet na mleko i bułki. Było nas ośmiu dziewczyn i siedmiu chłopaków, no i organizator, który przewoził imprezy, stary cwaniak. W potrzebie dawał nam zawsze pożyczkę, ale tego dnia przebywał akurat w Świnoujściu, więc sorawa była naprawdę bezradna. No i wtedy odnowiła się moja skaza. Pra-

wę mówiąc: chciałam zaimponować zespołowi, a już szczególnie dziewczynom, które jako aktorki uważały się za coś lepszego. Powiedziałam: zaczekajcie, spróbuję zorganizować parę setek. Było to w połowie lat sześćdziesiątych, kiedy setka miała jeszcze swoją wartość. Wyszłam na ulicę. Omijałam wszystkie restauracje i kawiarnie, których było wtedy w Świnoujściu mnóstwo. Nie obchodziła mnie również plaża. Mięliśmy „Piekielko” i snułam się promenadą, która o tej porze, w południe, jest raczej pusta i jeśli można tam kogoś spotkać, to chyba tylko pijaków, blade, leciwe damy, które siadają na ławkach w cieniu, bo na słońcu mogłyby od razu wykorokować, no i różnych palantów w garniturach, takich w okolicach pięćdziesiątki, którzy urwali się na samotny urlop z domu w nadziei, że przeżyją jakiś romans.

Nikt mnie tego nie uczył, ale miałam do tych smutasów instyngt. Spojrzysz takim w oczy i od razu jest zakochany jak ten gość w „Idiocie” Dostojewskiego: dziatki rzucę, zonkę rzucę i pójdę z tobą. Nie każdy oczywiście ma pieniądze. A na pewno żaden nie ośmieli się zaczepić pierwszy pięknej dziewczyny, co innego jakąś autostopowiczkę czy pijaną lachudrę. Trzeba więc dobrze wybrać i ośmielić palanta.

Ten, do którego podeszłam, był nawet przystojny. Uśmiechnęłam się do niego i mówię: — Czy mógłby pan w drodze wyjątku pożyczyć błędnej dziewczynie pięćset złotych? — Facet był znokautowany. Raz, że byłam naprawdę ładna i młoda, dwa, że w ten sposób nie odzywają się prostytutki ani pospolite naciągacze.

— Stało się coś złego? — zapytał. — Spojrzałam mu w oczy i powiedziałam wesoło: — Nic się nie stało. Wydałam po prostu wszystkie pieniądze, nie chce mi się wracać do domu.

Byłam przekonana, że powie

teraz: chodź, pobawimy się trochę i dam ci te pięćset złotych, ale był to jeden z tych cholernych dzentelmenów, którzy najpierw piacą, a dopiero później biorą. Wyjął z chłodną nonszalancją portfel, zapytał, czy nie zechciałabym się zobaczyć z nim wieczorem w „Srebrnej Falli” albo w „Europie”. Powiedziałam, że z przyjemnością, chociaż wcale nie miałam takiego zamiaru i wróciłam do swoich, kupując po drodze wino, wodkę, chleb, masło, pomidory i coś tam jeszcze.

Sprawilo to na wszystkich wielkie wrażenie, ale mój aktor obserwował mnie bacznie. Jak sobie trochę popił, zaczął mnie przepytwać:

- Pożyczyłaś, mówisz?
- Tak.
- I ten gość nie za to nie chciał?
- Owszem, chciał.
- Czego?
- Żebym spotkała się z nim wieczorem.
- I to do wszystkiego?
- Wszystko.

Dostałam w twarz. Ucieszyłam się, że jest taki zazdrośny, ale potem zaczął mnie maltretować. Nikt nie stanął w mojej obronie, myślę, że dziewczyny były nawet zadowolone, a chłopcy siedzieli w milczeniu. Plakałam, a on walił tak, że łzy rozpryskiwały mi się na policzkach. Wpadł w jakiś cholerny, sadystyczny trans, wydawało mi się na pewno, że jest wspaniałym mężczyzną. Aktorem często się tak wydaje, szczególnie tym, którzy zakochali się w amerykańskich filmach.

Był strasznie egzaltowany. Kiedy już skończył mnie prać, sam się poplakał, a potem spał w łóżku, nie chcąc mi się przyznać, że to ja go przetrzęsłam. Wyszłam. Był przekonany, że będę go błagać i jęczeć pod drzwiami, ale kobieta, nawet bardzo młoda, umie nieraz

zmienić się w ciągu kilku chwil. Poszłam do kosmetyczki, która doprowadziła jako tako moją twarz do porządku, a później kapalał się i opalałam na plaży. Dałam się poderwać pierwszemu chłopakowi z brzegu, z tym, że jeśli dziewczyna ma odpowiednią klasę, facet, który ją zaczepia też ma odpowiednią klasę, obowiązuje po prostu pewna konwencja, pewne pole wzajemnego przyciągania, w którym mieszczą się akurat tacy, a nie inni ludzie. Mówię oczywiście o stosunkach towarzyskich, a nie o prostytucji, której urok, jeśli chodzi o mężczyzn, bardzo często polega właśnie na tej pozornej bezkłasowości i demokracji, występuje mieć pieniądze, aby przespacerować się z najpiękniejszą księżniczką nocy.

Ten chłopak wynajmował pokój z kolegą, ale zwodował go gdzieś, tego kolega, no i zaczęłam się leczyć alkoholem i miłością. Klin klinem, jak to się mówi, ale rano stwierdziłam, że nie pomogło. Bez ustanku nurtowała mnie myśl, aby wrócić mimo wszystko do swojego aktora, naprawdę go kochałam, współczułam mu i byłam całkowicie pewna, że on na mnie czeka i cierpi.

Kiedy mój podrzyc poszedł do łazienki, ubrałam się szybko i uciekałam, wiedząc, że ten też za chwilę będzie cierpiał. Było mi go nawet trochę żal. Mężczyźni w ogóle są strasznie łatwowierni i naiwni. Wystarczy siedzieli w milczeniu. Plakałam, a on walił tak, że łzy rozpryskiwały mi się na policzkach. Wpadł w jakiś cholerny, sadystyczny trans, wydawało mi się na pewno, że jest wspaniałym mężczyzną. Aktorem często się tak wydaje, szczególnie tym, którzy zakochali się w amerykańskich filmach.

Szłam w stronę naszych kwaterek. Bolało mnie serce ze zdenerwowania. Wiedziałam, że jeśli wrócę do aktora, popełnię błąd i nie chodzi o to, żebym myślała o takich sprawach jak małżeństwo, jak ktoś ma dwadzieścia lat, takie rzeczy są zupełnie nieistotne.

Miałam kontakt z literaturą i filmem, które w większej mierze kształtują duszę człowieka, niż się pozornie mogło zdawać. Szłam w stronę naszych kwaterek, ale zaciskałam pięści i

powtarzałam sobie: muszę być silna, muszę być zimna i cyniczna, muszę raz na zawsze odrzucić od siebie wszelkie uczucia i sentymenty. Jeśli mi się uda tego dopiąć, zdobędę świat.

Ktoś zatrzymał mnie w tej mojej lunatycznej wędrówce. Był to ten pięćdziesięcioletni, a jak się wkrótce okazało pięćdziesięcioczteroletni dzentelmen, który pożyczył mi pięćset złotych. W pierwszej chwili chciałam powiedzieć: splayaj, działaniu, ale rozmyślałam się. Frzemknęło mi przez głowę: jestem prostytutką. Nie byłam nią jeszcze, ale sam fakt, że dopuściłam do siebie taką myśl, sprawił mi pewną gorzką satysfakcję i przesądził o moim życiu.

Gość zaczął od wymówek, że postąpiłam nieładnie, że jak ktoś umawia się z kimś na kolację, to powinien dotrzymać słowa. Odpowiedziałam beztrzęsio, że przeszkodziły mi obowiązki służbowe. Był zdumiony.

- Pani tu pracuje? — zapytał.
- Tak.
- Jak?
- No, właśnie... tak.
- Jest pani...
- Aha. Jestem kurwą.

Nie uwierzył. Wziął mnie na obiad z wódką i rozpoczął długie, elokwentne kazanie, z którego wynikało, że prostytucja jest rzeczą straszną, szczególnie w przypadku tak ładnej i inteligentnej dziewczyny jak ja. Z kazania wynikało również, że jeśli przeprowadzę się na parę dni do niego, zrobi wszystko, aby mnie wyregulować i ustawić należycie do świata, a parę groszy też się przy okazji znajdzie, abym miała na początek uczciwej drogi.

W porządku — pomyślałam. Dziewczyna może być prostytutką nawet wtedy, kiedy udaje, że kończy właśnie z tym haniebnym zawodem. Zawłókił mnie do swojego pokoju, który wynajmował w domu pewnej pobożnej gospodyni. Nim zdążyłam się rozebrać, kobieta narobiła takiego rabanu, że musieliśmy opuścić dom i jeszcze tego samego wieczoru wyjechaliśmy do Szczecina, gdzie służba hotelowa była zastawiona do życia ugodowo i pogodnie.

Dziadek okazał się impotentem, aczkolwiek miał w Poznaniu żonę i dzieci. Przez cztery dni pocieszał mnie, że jego niemoc ma charakter przejściowy i lada moment zbudzi się w nim prawdziwy lew. Przemawiał w stylu dziewiętnastowiecznych bohaterów powieści:

- Widzisz, dziecinko, wszystko drugiego, że darzę cię głębokim uczuciem, a takie jest zdolne sparaliżować najwspanialszego nawet mężczyznę. Czy mogłabyś spróbować trochę inaczej?

- To znaczy?
- No, wiesz...

Próbował rozbudzić we mnie pasję muzyczną, to znaczy: miłość do instrumentów dętych. Gra na tych instrumentach przejmowała mnie wstrętem, podobnie zresztą jak cały ten cholerny dewot.

Piątego dnia rano powiedziałam spokojnie:

- Teraz zapłać mi. Dzisiaj wyjeżdżam.

Opierał się z początku, wymawiał obiady i kolacje. Kiedy wyjął z kieszeni długopis i zaczął sumować na marginesie gazet wszystkie swoje, związane ze mną wydatki, wyrecytował mi w rewaniu z pamięci wszystkie jego dane ściągnięte z dowodu osobistego: imię, nazwisko, datę urodzenia i miejsce pracy. Powiedziałam:

- Jeśli nie dasz mi z miejsca dwóch patyków, prosto stąd pójdę na milicję, a potem złożę dokładny raport żoncie, ucieciom i twojemu szefowi. Zrozumiałeś, towarzyszu?

Nie brakło mu wyobraźni. Zrozumiał.

Skąd się dziś biorą prostytutki?

MICHAŁ KOSIN

Każdego roku rejestr warszawskich prostitutek powiększa się o nowe twarze. W ewidencji KS MO widnieją jako „mowa ujawniona”. Warto się przyrzeć kim są, co sobą reprezentują owe „nowe sity”.

W 1980 roku ujawniono 169 prostitutek. Wśród nich 47 było z Warszawy, 122 spoza stolicy. Pochodzenie społeczne: robotnicze — 145, chłopskie — 11, inteligentne — 13. Wykształcenie: 91 dziewcząt miało szkołę podstawową, 38 ukończyło zawodówkę, 48 wykazywało się średnim wykształceniem; 135 było pańien, 25 meżatek i 9 rozwiedzionych. 119 pochodziło z rodzin pełnych, z obójgiem rodziców, a tylko 50 można określić jako sieroty społeczne, 43 były karane z KK, 21 przebywało w zakładach karnych lub domach poprawczych, pozostałe weszły w kolizję z prawem.

Szukając przyczyn, które ewentualnie mogły je pchnąć do nierządu, w KS MO sporządzono szczegółowe wywiady społeczne. Okazało się, iż trudne warunki rodzinne mogły się stać taką przyczyną jedynie w 15 przypadkach, niepowodzenie małżeńskie — w 3, wpiwby koleżanek — w 6, w pozostałych natomiast 145 (!) przypadkach jedynym motywem uprawiania nierządu mogła być tylko chęć... łatwego zarobku.

W dwa lata później ujawniono 102 nowe prostytutki; z Warszawy było tylko 15, reszta spoza stolicy. Wyniki badań nie różniły się zbytnio od poprzednich. (...)

Nazmienna dla nowego pokolenia warszawskich prostitutek jest pewna potrzeba luksusu, psychicznego komfortu. Coraz mniej jest osławionych „gruznek”, „rogówek”, typowych ładnie zaczepiających klientów na ulicy. Te klasyczne rejonu działania, to raczej domena starszej generacji. Jak wykazują milicyjne statystyki, spośród nowo ujawnionych jedynie znikoma część żądzie na ulicę. Wśród 169 ujawnionych w 1980 roku, na ulicy pracowało jedynie 14, wśród 102 ujawnionych w 1981 roku — tylko 10, wśród 102 ujawnionych w 1982 roku — zaledwie 8.

Gdzie więc podjęły prace poszły? Głównie w lokalach. W związku z tym coraz więcej jest „lokalówek” i coraz mniej „ulicznych”. Lokal lokalowi oczywiście nierówny, kudy tam „Danusi” do „Forum” czy „Europejskiego”. Następuje więc i tutaj gradacja oraz społeczne rozwarstwienie. (...)

Na propozycje normalnej pracy zarobkowej, które niejako z obowiązku czynią im milicyjnik z „obyczajówki”, jawnie się śmieją. Te zaś, które wyrażają chęć pracy, zgodę obwarowują warunkiem: „Tak, o ile trafił się dobra praca”. Dobra, czyli lekka, przyjemna i dobrze płatna.

Ile zarabiają? Trudne pytanie. Głównie dlatego, że u prostytutki o wiele wcześniej, niż gdzie indziej zaczęły obowiązywać ceny umowne. To zaś, co wiadomo, pochodzi z tzw. przecieków. Panie z Alei Jerozolimskich biorą za usługę około 2 tys. zł, choć jeszcze kilka lat temu zadawalały się pięćsetką. W „Grand Hotelu” czy „Kaukaskiej”, „Kongresowej” czy „Kolumbii” (dawna „Rokasa”) płaci się wyżej. W kontaktach z cudzoziemcami obowiązuje tarifa dewizowa. Do niedawna, gdy cudzoziemców było więcej, promieniki brały i 100 „złotych”. Znaczenie niższe nałożył gośći dewizowych spowodował, że górne ceny spadły gwałtownie — do 30, nawet 20 dolarów.

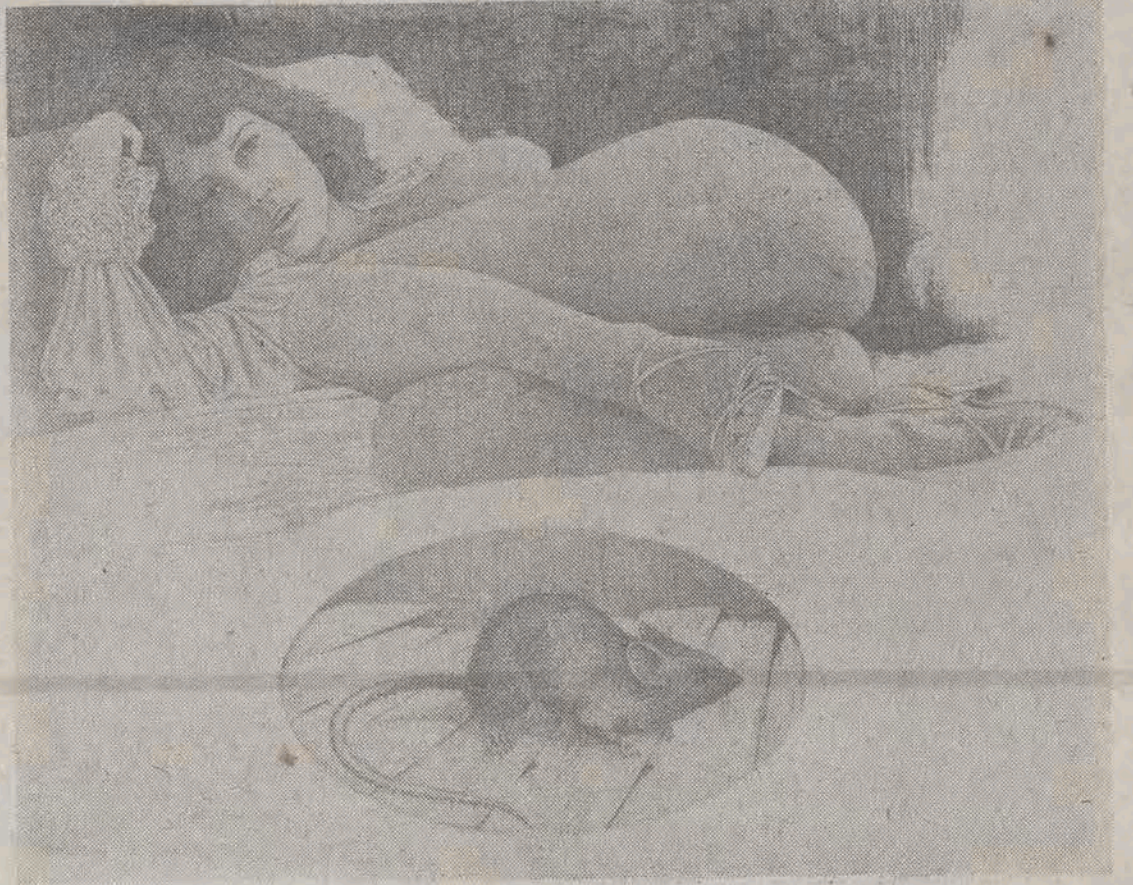
Widoki utrzymania się w nierządzie w wieku powyżej 30 lat są niewielkie, szczególnie dla tych, które zaczęły wcześniej. Któregoś dnia przychodzi moment, kiedy trzeba wybierać: wycofać się i próbować ułożyć sobie normalne życie, póki jeszcze nie jest za późno, albo trwać dalej ryzykując stopniowe staczenie się?

Te, które odchodzą z zawodu, w ewidencji KS MO figurują jako „wyeliminowane”. W 1980 roku było ich 17, w 1981 — 31, w 1982 — 43. Większość podjęła pracę, wyszła za mąż, znaczna część wyjechała za granicę.

Sposoby ułożenia sobie życia po przejściu w „stan społeczny” są rozmaite i zależą od posiadanego kapitału. Generalnie bardzo rzadko decydują się na podjęcie pracy fizycznej, najczęściej idą do pomocniczej pracy biurowej, otwierają zakłady fryzjerskie, biorą w agencje sklepy. Wyrwalone, zerwany z nierządem, mogą nareszcie zająć się domem i wychowaniem dzieci, które — jeśli były — dotychczas wychowywał najczęściej ktoś inny. I są pełne wiary, że wychowają je dobrze.

cdn.

[„Perspektywy”, 5.VII.1983]



Rys. Janusz Szymański Glanc